

Jerzy Piwowski, ur. 4. 05. 1915 r. we Lwowie, absolwent Politechniki Lwowskiej/spec. inż. - silniki spalinowe/, pochodzenie inteligenckie. Syn Emila i Jadwigi z d. Rzeszów

---

1 sierpnia 1939 roku zostałem zmobilizowany do swojej jednostki w Złoczowie, do której przydzielony zostałem po ukończeniu Szkoły Podchorążych w Tarnopolu.

1 sierpnia już tam było trochę podchorążych. Byłem akurat po dwóch ćwiczeniach i miałem akurat dostawiana na podporucznika. Specjalnie nie przyjeżdżaliśmy się do zajęć i ćwiczeń, tak, że czasem nawet w trydźca graliśmy.

Pod koniec sierpnia cały pułk wyprowadzili na wzgórza koło Złoczowa. Tam pułkownik mówił właśnie, że grozi nam wojna - wszyscy są świetnie przygotowani do wojny i nacal się bardzo intensywnie do niej przygotowują. To było pierwsze zapoznanie z sytuacją.

Wtedy z pułku został wysłany jeden batalion na przygotowanie wyścadowania dywizji gazowej w rejon Zielca. Ja byłem w tym batalionie. Przebrali nas wszystkich w nowe piękne mundury, na dworcu przy wyjeździe kobiety ryczały, że chłopcy idą na wojnę itd. itd., to takie normalne w tym czasie. I każdego razie przejeżdżaliśmy przez Lwów. Z perypetiami dojeżdżaliśmy do Łkarsyska-Namiennej. Wylądował się tam już na dworcu nie dało, bo dworzec został zupełnie rozbity, tak, że nie dojeżdżaliśmy do rampy. Wylądowaliśmy się więc z toru i dalej szliśmy w kierunku na Zielca. Tam zaczęły się działania wojenne. Ostaliśmy pierwsze ostrzały. Chyba tam wtedy dostatek jakiegoś rykoszeta trochę po plecach, trochę skórę zraniło, ale oczywiście się nato nie patrzył, tym bardziej, że przez cały czas tych działań w ogóle się nie rozbieraliśmy. Tak to z początku wyglądało. Później zostałem wysłany na zabezpieczenie flanki. Siedziałem w lesie, była bardzo piękna pogoda. Po wykonaniu tego zadania wróciłem do oddziału.

Furę kompanijną gdzieś jakichś granat rozwalił, mój plecak i wszystkie moje rzeczy poleciały w powietrze, tak, że zostałem z tym, co miałem przy sobie. Potem maszerowaliśmy, wielki marsz stamtąd był w kierunku przez Wąchock, gdzie był pożar jakiś magazynów z paliwem, całe poł nieba było zakryte dymami, okropnie to wyglądało. Myśmy szli przez całą noc, aż wreszcie zatrzymaliśmy się w Puszczy Starachowickiej. Po drodze, gdzie dołączyliśmy do naszej dywizji dostałem jakieś zadanie specjalne. Dowódca - mjr Kortnowski miał chyba więcej zaufania do mnie. Następnego dnia o świcie dywizja usiłowała się przebić przez pierścień niemiecki. Ja byłem z moją grupą w odwodzie z powodu tego zadania z poprzedniego dnia i obserwowałem wspaniale idące natarcie, niestety na całej linii natarcia Niemcy założyli pola minowe, a brak artylerji dywizyjnej, jak i pułkowej uniemożliwił oczyszczenie przedpola z min. Natarcie z olbrzymimi stratami nie odniosło skutku. Tak została rozbita batalionu 12 dywizja piechoty. Mjr Kortnowski był dowódcą mojego ~~pułku~~ batalionu. a dowódcą 12 dywizji piechoty był płk Paszkiewicz. Płk Paszkiewicz po tej klęsce popełnił samobójstwo. Jak się później dowiedziałem, on się jednak nie zabił, tylko postrzelił i później dalej na zachodzie walczył po wyleczeniu się.

Wieczorem na odprawie dostaliśmy rozkaz do pojedynczego powrotu do swoich pułków, wydano pieniądze i żywność. Pamiętam olbrzymią szynkę jaką wziąłem ze sobą, człowiek był wygłodzony, a trzeba było w końcu coś jeść. Mieliśmy się dostać do naszego pułku tam, do Złoczowa - z powrotem. Wymarsz w nocy. Po drodze nie brakowało przygód Niemcy pozajmowali już tante okoliczne wioski. Trzeba było przekroczyć rzekę Kamienną, na mapie znaleźliśmy kładkę obok jakiegoś majątku, napadły na nas psy folwarczne, a za nimi Niemcy strzelali, trzeba było ostro wyrywać. Później przy przekraczaniu szosy, jednej, drugiej, jak i przy forsowaniu isły na drugą rano kilkakrotnie strzelali do nas, ale bezskutecznie. Inna rzecz jeszcze była w związku z wydaniem rozkazu o rozejściu się. ~~Oto ludzie nie chcieli~~



Luźnie się rozchodzili pojedynczo, a szli cały czas uparcie za mną całą grupą, tak, że w pewnym momencie musieli skoczyć w krzaki i ukryć się przed nimi. Chcieli walczyć, a tu wyłącznie chodziło o bezpieczne przedostanie się, nie budzące podejrzeń. Za Wisłą jakiś patrol stwierdził, że my jesteśmy dezertkami, że uciekaliśmy, itd. itd., przytrzymali nas i później wszystko się wyjaśniło. Nie mieli kompletnie łączności, nie wiedzieli nic kompletnie, co się dzieje za Wisłą, dopiero im wyjaśniliśmy. Chcieli wiedzieć jakie są działania niemieckie, nie zdawali sobie sprawy, że Niemcy tak daleko poszli. Gdzieś w Zwierzyncu była organizowana grupa bojowa. Zgłosiłem się do tej grupy, dostałem oddział, który resztą później uciekł. Taka zacieranina. Poszliśmy do szosy prowadzącej w kierunku pld.-zach. i po paru godzinach marszu rozłożyłem ten swój oddział na polanie, przy szosie, a z ochotnikami /było ich sześciu/ doczołgaliśmy się z dwóch stron szosy. Jedni mieli granaty w chlebakach, inni benzynę do podpalania. Wiedzieliśmy, że tamśdy będą przejeżdżać niemieckie czołgi. Oczekaliśmy się po kilku godzinach czołgu niemieckiego, który jechał bardzo szybko, udało się jednak go podpalić. Postrzelaliśmy do wyłazających Niemców, do niewoli brać nie mogliśmy ze względu na następne czołgi. To był ich pierwszy czołg przecierający drogę. Poszliśmy szybko do oddziału, ale tylko ślady po dreptaniu pozostały, nie wytrzymali chyba nerwowo. Bezrach demoralizuje. Później dalej wędrowaliśmy, bo na drodze spotkaliśmy jarlego oficera rezerwy, aś doszliśmy do rozstania, gdzie nas Niemcy zasali drogę od południa, tak, że na Iwów, ani na Złoczów już nie można było iść prostą drogą. Usiłowaliśmy przejść przez Kowel dookoła. Po drodze dowiedzieliśmy się od jakiegoś takiej pary - dwoje młodych ludzi z automatami, że idą trochę postrzelać do bolszewików, ponieważ wojska Związku Sowieckiego przekroczyły granicę Polski od wschodu.

Na tych bolszewików z visem to nie miałem cę iść, wobec tego postanowiliśmy wracać na Lwów ukrywając się przed wojskiem bolszewickim, bo ich tam już było pełno, a także niemieckim. Zaczęliśmy wracać przez Chełm, gdzie było więzienie, tam wymieniliśmy całą bielizną, bo tej bielizny czystej i nowej było tam bardzo <sup>(w ilościach)</sup> dużo, była też woda, więc się wykompaliśmy.

Stamtąd idąc w kierunku na Hrubieszów, przed Hrubieszowem jakieś kilometr na szosie stało dwóch żołnierzy w mundurach polskich, w czapkach z okuciami, bardzo ciekawe - z karabinami, spodnie z lampasami. Bardzo im podejrzanie wyglądało <sup>Ruskim</sup> ~~wszystko~~ i pytają się nas: "Czy my chcemy iść się przeciwko ~~Ruskom~~?", odpowiedzieliśmy: "Oczywiście, że chcemy". Jeden z tych żołnierzy zaprowadził nas do koszar. W koszarach na bramie warta i nie wypuszczali nikogo ze środka. Wewnątrz te chłopcy siedziały, cisza kompletna, palili sobie ogniska i piekli jakąś rzepę, czy coś takiego, widac, że tam głód był solidny. Ten żołnierz, który z nami wszedł posiadał ~~panię~~ po majora R a d z i u l e w i c z a - był to człowiek dosyć niski, z taką zmiętą twarzą, lekko już nawet szpakowaty, mówił z jakimś obcym akcentem - zaciągał jakos dziwnie "es", obcy akcent tak, że zdziwiliśmy się: co to jest? Zapytał się nas, czy my chcemy iść się przeciwko Ruskim - "owazem - mamy ochotę" odpowiedzieliśmy. Zaprowadził nas do kasyna, tam nam dali takie małe talerzki arysiku z cyrkonem - człowiek był głodny i dosłownie zjarłby w resztkę co by się tylko dało. Wcześniej major powiedział nam, że wieczorem wyrusza kompania, i mamy zgłosić się do tej kompanii. I rzeczywiście też pod wieczór zaczęła się gromadzić ta cała kompania. Było to już po 17 września i to był pierwszy dzień, gdzie zaczęło mżyć i zaczęła się w ogóle robić paskudna pogoda, bo dotychczas była wspaniała. Dowódcą tej kompanii był jakiś nasz porucznik - poszedłem do tego porucznika i powiedziałem, że zostałem przydzielony tutaj jako siła patrolowa.



Bardzo się ucieszył i powiedział: "Proszę sobie iść, gdzie ma pan tylko ochotę". Wyruszyliśmy stamtąd z kossar w kierunku na w chód. Trzdno mi było się zorientować jaką drogą, tym bardziej, że Hrubieszowa nie znałem, a druga rzecz, było ciemno.

Idziemy i widzimy przed nami lunę. W czasie wojny lun tych było szalenie dużo, gdzie się człowiek popatrzył, to wszędzie luno - to typowy objaw wojny; było wyje, itp, itp. Poza tym, co ciekawe, to cały czas było słychać jakies postrzeliwania - pojedyncze strzały. Idziemy tą drogą i widzimy coraz bliżej tą lunę. Ta luno dosyć nisko, luno było widac w różnych miejscach na niebie.

Po pewnym czasie zobaczyliśmy płonący budynek, paliła się pierwsza chałupa we wsi. Ogień wtedy było dobrze widac już, a na tle tego ognia jakies ruszające się postacie. Ciekawa rzecz inna, nianowicie słyszałem trzy razy czajkę jak kwiliła. Któryś z żołnierzy powiedział, że to nie czajka, bo czajka nigdy w nocy trzy razy nie kwiliła. To jest sygnał. Poza tym powiedział jeszcze, że od kilku dni codziennie wieczorem wychodziły kompanje, z których przy życiu zostaje kilku ludzi. Byłem tym bardziej zdziwiony i podejrzliwy, jakos to wszystko takie dziwne było. Te postacie poruszające się na tle tego ognia. Podeszliśmy bliżej - nikogo nie ma. Owe sea, chałupa się pali, przeszliśmy koło niej.

Kiedy przeszliśmy przez wieś na drugą stronę, na końcu wsi znouu pali się chałupa. To była ostatnia w tej wsi.

Wychodzimy ze wsi, a przed nami następna luno. I znouu ta sama czajka. I wtedy, ale już z obawą zacząłem podejrzewac, że coś jest nie w porządku. Pytam się tych chłopów: "Czy mają amunicje?" - "A jakże" - "Po ile?" - "Po trzy naboje". Siali po trzy naboje i to było wszystko/i karabiny polskie/.

Co się dzieje. Znouu ogień. Znouu chałupa przed wsią się pali. Znouu ruszają się jakies postacie. To takie typowe, ten sam obraz po raz drugi. Wchodzimy do wsi. Porucznik mówi, że w tej wsi kwateruje dowódca kompani. Nadziulewicz był dowódcą batalionu.

W ten sposób to określali. Tu kwateruje dowódca kompani - jakiś kapitan. Dowódca kompani/tej naszej/X ma obowiązek się u niego zameldować. Zrobiłem uwagę, że mi się to wszystko nie podoba i chciałyby spałolować tą wieś. "Bardzo proszę" - usłyszałem odp.<sup>owiad</sup> Wziąłem sobie parę żołnierzy, pięciu, sześciu. Kawaliek dalej wszedłem do zagrody. Było zupełnie ciemno, ale oczy przystąpiły do ciemności. Wchodzący do takiej zagrody i widziły bardzo regularnie porozrzucone snopki słomy. Podchodząc do takiego snopka słomy, podnosząc go do góry, świecą latarką, a tam bolszewik! Śpi. Zobaczyłem tę twarzyczkę z tymi kołami odstającymi na boki. Człowiek jeszcze tak takich ludzi nie widział, czy skońc, itd. Miałem wrażenie, że ze strachu poblądł, a i tak był żółty, tak, że wyglądał jak stwór. Obok leżał hełm, który wsiąłem do ręki. Rzuciłem snopkę. Nie miałem, że tam śpi cała kompania rosyjska. Leżą pod tymi snopkami i śpią.

Wróciłem do porucznika i mówię: "Panie poruczniku: w tej wsi kwaterują Sowieci!" - "Wykluczone!" - "Niech pan patrzy". Miałem mu ten hełm. Pooglądał hełm z tą gwiazdą. Te hełmy zupełnie inaczej wyglądały, niż polskie. Inny zupełnie kształt miały. Pytam się, gdzie jest kapitan, czy był u niego? Tak. On tutaj, w tym, a w tym domu kwateruje. Obec tego idę do tego kapitana. Przy bramie stoi jakiś żołnierz i znowu w tej czapce z okuciami. Mówię, że idę do kapitana i chcę z nim mówić: -"Pan kapitan śpi!" -"Natychmiast budzić!" i ręką trzymam na widzie, w razie czego, to mu trzęsnę. Poleciał i mówi: -"Pan kapitan prosi!" Znowu język nie ten, zupełnie z obcym akcentem. Wchodzę do środka. Leży na łóżku w czapce, też z tymi okuciami, też w tych spodniach z lampasami! Leży na łóżku, jak zauważył, że wszedłem, to podniósł się. Pytam się: -"Jak to? W tej wsi kwaterują Sowieci i pan takze!" Ten się zerwał: -"Co?!, 16 km naprzód, rozkaz! Niewykonanie rozkazu kula w łeb!"



Chciałem go tam na miejscu zastrzelić, ale w tej wsi kwaterują Sowieci, więc naszych w strzelali by z miejsca. Nie było sensu. Wyszedłem z tego domu, trzepnąłem jeszcze solidnie drzwi. Poszedłem do swego porucznika. Pytam porucznika, co teraz będzie robić? - "Pójdę dalej tych 16 km, a pan niech weźmie jeden pluton i idzie równoległe do drogi, drogą pod lasem". Pokazał mi na mapie, gdzie będą okopywać się, ja mam zająć pozycję na wzgórzu i w razie czego pozorować przeciwnatarcie.

Mnie się to strasznie podobało, bo przecież raz, że jestem sam dowódcą, druga rzecz, z tyłu mam za sobą las. Warunki więc zupełnie inne. Zabrałem cały pluton i spokojnie idę. Mapę oglądam tak, żeby mniej więcej wiedzieć, gdzie, co i jak. Wreszcie doszedłem do miejsca, gdzieśny powinni się zatrzymać. Rozłożyłem ludzi i czekam do świtu. Jest ciemno. Ta strzelanina się nie kończy. Łży deszcz, nieprzyjemnie jest. Przykucnąłem i czekam. Wreszcie zaczyna świtać. Jak się tylko na tyle rozwidniło, żeby można było kawałek przed sobą widzieć, poszedłem i sprawdziłem, gdzie ci w zyscy ludzie leżą. W nocy jak ich rozstawiłem nie ~~ixx~~ wiedziałem co mają przed sobą. Gdzieniegdzie zrobiłem korektę. Znalazłem dla siebie miejsce takie, że można w razie czego mieć łączność i dowiedzieć. Leżymy dalej, rozwidnia się coraz <sup>bardziej</sup> ~~więcej~~. Patrzę się - okra- kien na szosie są nasi - okpali się, leżą i czekają, tak samo. Na tyle się rozwidniło, że widziałem już na odległość. Jesteśmy od nich jakieś 400, 500 m, nie więcej. I w tym momencie nie wie- skąd, chyba że w i wyjechała cała kupa czołgów rosyjskich zają- jących w kierunku do naszych okopanych żołnierzy i zaczęli z tych czołgów strzelać. Ta rzecz zrobiła na mnie takie wrażenie, że napr- udę nie wiedziałem co mam, co powinienem zrobić. Zaszokował mnie widok biegnącego do mnie elewa z czołwkiem, którego oni ścięli serią. Niesamowity szok przeżyłem, jak to zobaczyłem. Stałem, obróciłem się do tyłu i zszedłem na dół, nie wydałem żadnego roz- kazu.

Kompletnie nie, zatkało mnie zupełnie. wracam z powrotem, tą samą drogą, którą w nocy szliśmy. Gdzieś po przejściu jakiś 2, 3 km patrzę się i widzę jeszcze jakiegoś żołnierza. Zbliżyłem się do niego i idziemy razem. Wreszcie doszliśmy do rzeczki, biegła ona w poprzek naszej drogi. Nie chciało nam się kąpać w tej rzeczce, a że skręcała w kierunku do drogi głównej, wobec tego skierowaliśmy się tam. Przy <sup>rzeczce</sup> rzeka były krzaki i tyki krzaczkami spokojnie zoblizamy się. Patrzyły i widziły na dobie stojących dwóch żołnierzy rosyjskich z karabinami, którzy przechodzących zatrzymują i rewizją. Pytam się mojego towarzysza, czy dobrze strzelał - "A słysz" - "To podejrzany bliżej - ty lewego, ja prawego i przesłuchajcie sobie przez most". Stali oni przy mostie, bardzo pięknie się wystawili, tylko się łącząc. Podochodzącej się coraz bliżej, na taką odległość, żeby można z rewolweru od razu trzepnąć. I w tym momencie patrzyły się, a z drugiej strony rzeki w jednym miejscu idzie rojem kompania rosyjska, w drugim miejscu tyraliera, z tyłu patrzę i też widzę oddziały wojska sowieckiego. Widać jest w głębi ugrupowania rosyjskich. Dalej nie ma co tych dwóch strzelać, bo oni nas przodem wystrzelają. Nie ma gdzie uciekać. Wyrzuciłem wtedy visa do rzeki, zamek z karabinu, jeszcze kolbę się złamało, i do wody. I idziemy na most - rzekli się do nas - "Oruzy", nie wiedziałem co jest - nie znam tego języka, obrzucali nas i kazali iść "przede", co znaczy albo przodem. Rewolwi szliśmy przez ten most, bo znów ktoś się zbliżył i wzięli się do tego następnego, wykorzystaliśmy okazję i skoczyliśmy w bok i pobiegliśmy, uciekaliśmy wzdłuż tej rzeczki. Ubiegliśmy dość daleko. ~~Patrzyły~~ Patrzyły się - jest tor kolejowy na dość wysokim nasypie. Dochodzimy do niego i idziemy wzdłuż, w kierunku Krubieszowa. Jest stacja kolejowa. W holu tej stacji jakiś dwóch żołnierzy polskich poranionych ranami, już ostatnie ęrgawki. Do holu wejść nawet nie można, bo zalegają go olbrzymie kałuże krwi.



Poniważ w ogóle nie można było już ich co ratować, wyszliśmy stać. Jest jakaś chałupa. Wechodzimy do niej. Chłop zobaczył nas - "Chodźcie, chodźcie tutaj. Sowiści już są przeszło trzy dni w Hrubieszowie". Dał nam chleba, mleka, byliśmy bardzo gładni. "Gdzie teraz idziecie?". - "Do Lwowa". - "To idźcie w kierunku na Ica, to jest najbliższa droga". Górcis nawet jakąś mapę wydarł z jakiegoś książki i nam dał. Tylko wyszliśmy z tej chałupy i już trzech bolszewików z "pikami" przewodził nas na polonę. Bolszewików tam było bardzo dużo, i musieli chyba obserwować naszrodo dokładnie, dlatego nas od razu wzięli. Na tej polonie ~~polonie~~ było już schrony z dziesięciu żołnierzy. Stoją. Pośrodku do mnie jakieś pajac, jakie żołnierz podwiązany sznurkiem i zobaczył, że nas porządny pas. Nagaz si zdejmować. Powoli zacząłm zdejmować, on poszedł do drugiego, a ja pas schowałem pod ~~pasem~~. Nie miałem ochoty dawać mu tego pasu. W każdym razie zapomniał o mnie. Później przewodził nas przez Hrubieszów. I teżardzo charakterystyczny moment: widać, jakie Ukraińcy szczerzy zęby i "powisyty y", "powisyty y". Kawałek dalej idzie kobieta z wiadrem wody i mówi. że "będziecie wieli szczęści", że "wiadro jest pełne wody". Kawałek następuje - charakterystyczne w tym czasie. Przewodził nas tą samą drogą, którą szliśmy w noc. W powrocie. Nowy pełne trępców. Tam już <sup>z kowami</sup> codziennie od trzech dni wychodziły kompanie i z tych kompanii, jak mówili ~~o nich~~ ci żołnierze, którzy przesyli, że przy wyjściu zostaje najwyżej dwóch, trzech ~~czterech~~ ~~osób~~. A przed wsią, jedną, drugą, trzecią napadali ludzie i kopią wielkie doły. Z lewej strony przed wsią, niedaleko spalonych chałup. I tam musieli te trupy w tych dołkach ~~zasypanych~~.  
Do lewej stronie drogi przed kładką wsi. Bardzo ważny moment.  
Wreszcie zaprowadzili nas do cukrowni, w której nas zamknęli w tym miejscu, gdzie jest zsypan cukru. To jest pomieszanie z bardzo solidnymi drzwiami, w oknach kraty były.

Zeszli nas tam w środku. Nie wiemy, co z nami będą robić. Pod brzością stoi Ukrainiec z karabinem, ale cywil, nie Ruski. Chcemy, żeby to przynajmniej przetrwało do wieczora, nie się nie zaionilo, później będzie można coś dopiero robić, rozwić to, w dzień nie są jak tego zrobić. Siedzą tam, jest całkiem ponur. Był nas tam z piętnastu. Dobrze po otwarciu drzwi się otwierają, przed nami stoi Ławicki z "Ławicką" - sapa. I to dobrej, tłustej. Wzieli też kilka i ciemniarskie łyżki z trzonkiem w poprzek. Niejako wzięte przez Ławickiego, bardzo wygodne, do szybkiego jedzenia, ponieważ Ławicki miał na się całego pieroga i go bez trudu pojął. Szarliśmy to. On nas karmił, to mówimy, że nam nie będą strzelać. Rzeczywiście, zeszli nas, że teraz mamy iść po dwóch do kancelarii po przepustki. Zostawili drzwi otarte. Wiedziałem, że nie mogę być ostatni, ani pierwszy, tylko gdzieś się w środku ukryć. Najgorzej było to, że nie umiem nawet po ukraińsku, tańci wszyscy gadali po ukraińsku, nie wiem skąd to się wzięło, kazdy tam gadał w tym języku. Ja natomiast przypomniałem sobie, że mam z pieczęcią wielką z ukraińską, z wizerunkiem. I postanowiłem się w ten sposób ratować. Poszedłem tam i zwióz co jest, gdzie. Jak i skąd, że byłem w więzieniu. "A skąd ten mundur?" "A jakież żołnierz nie miał munduru, a te sztety są chłodne, wolałem mundur wojskowy." Zostałem przepuszczony. Rozmawiałem z nim to parowało się wesoło. Polacy robili taką dywersję. Chodziło im o to, żeby jak najwięcej wyżyć Polaków, którzy chcą przeciwnie nam iść. Głównie było to pytanie: "Czy chcecie się bliżej przeciwnie Polakom?". To jest fakt bardzo mało znany o tych poręczaniach pod Krubieszowem. Głównie tych wojskowych, tych, którzy mieli ochotę przeciwko nam występować. To ~~było~~ ~~straszne~~ co się działo, że oni mordowali w Ławicy, w więzieniach. Od razu takie nastawienie, o to chodzi. Wcale nie wiedzieli, że oni przyjeżdżali wyzwalać. Ci nie przyjeżdżali wyzwalać, to jest chyba dowodem.



Faktem jest, że ta dywersja musiała być przygotowana na długo przed przekroczeniem granicy. Zorganizowane to ~~było~~ ludobójstwo bardzo precyzyjne. Prawdopodobnie na wszystkich drogach dookoła Brubieszowa musieli być wysłani swoich żołnierzy, by ściągać jak największą ilość Polaków chcących się biec przeciwko nim. Od czasu mieli selekcję w stosunku do tych ludzi, których nazywali "nacjonalistami polskimi". ~~Później, gdy o si, wzięciu na przykład, na śledztwie śledztwa sądu, byliśmy traktowani jako "nacjonalistami polski".~~ Widzę nastawienie bolszewików do Polaków, zawsze było wrogie. Taki morderca, czy ten kapitan, to byli z całą pewnością agenci NKWD, tylko nie wiedzieli, że żołnierze polscy nie mieli nigdy czasu z okuciami, jak i też łapasy były używane tylko przez oficerów/czasami również wyższych podoficerów/ na oficjalnych paradach. Ten sam błąd zauważyłem nawet w filmach polskich, nie tylko rosyjskich, gdzie pokazywali polskich żołnierzy przedwojennych.

Powrót do Lwowa/około 24. IX./ z Brubieszowa był w zasadzie dość spokojny, choć nie zupełnie. Przy drodze z Łęka na Mosty Wielkie spotkaliśmy takiego polskiego żołnierza, którego Ukraińcy rozstrzelali i ścielili zamordować. Uciekł im. Dlatego trasę zmieniłem na Sokal, gdzie jeździły czołgi rosyjskie, bezpieczniej było przez Ukraińcami. Trzema szliśmy około 50 km, jeden nocleg, jak zwykle za krowy cegien, koło Sokala, drugi wypadł nam w Mostach Wielkich, gdzie chroniliśmy jakąś polską rodzinę/w-ie mieszane/ w nocy przez Ukraińcami. Doszło tam do krwawej bitki. Następnym etapem to był Lwów.

Po <sup>w</sup>poroście do Lwowa wpadłem w depresję/ok. 24.IX./o. Zajęcie miasta przez Rosjan i wcześniejsze przeżycia wpłynęły na mnie bardzo deprymujące. Z domu w ogóle nie wychodziłem prawie, siedziałem nie ruszając się z miejsca. Odrętwiałem zupełnie - do tego stopnia, że matka wyrzucała mnie z domu - "zajmij się czymś, idź do kolegów!".

Pierwszym moim zajęciem siedząc w domu było zajęcie się naprawą zegarków. Żeby naprawić zegarek mojej siostry musiałem pójść do sklepu ferntury. We Lwowie był olbrzymi skład ferntury Cippera i tam się udałem. Okazało się, że sprzedającym tam jest jakiś żydek, który swego czasu pracował w gazowni i on mnie poznał. Nie tylko sprzedał mi wszystkie części do zegarka siostry, ale również zachęcił mnie, żebym kupił cały zestaw narzędzi zegarmistrzowskich, bo jeszcze nie było wżwyżki cen, a to w tej chwili można za bezcen dostać. Wziąłem cały komplet najpotrzebniejszych narzędzi.

Zaczęłem trochę chodzić po Lwowie. Widziałem wtedy gromady Żydów skandujących: "Podły ustrój trzeba znieść, kto pracuje będzie jeść". Wszędzie pełne było czerwonych towarzyszy. Z odrazą patrzyłem się na te wszystkie historie.

W gazowni mieszkał niedoszły inż. Stanisław Skurski, który był w czasie I Wojny Światowej ppikiem w armii Hallera. Został zdemobilizowany i w wojsku dalej nie chciał pozostać. Zapisał się na Politechnikę Lwowską i pracował w gazowni. Był żonaty - dwoje bardzo sympatycznych ludzi. Inż. Skurski zaczął organizować na terenie gazowni organizację wojskową/X-XI 1939/. Oficjalnie nazwy tej organizacji jeszcze nie było. Dopiero gromadziło się ludzi i byli to wyłącznie prawie pracownicy gazowni. Było tam dwóch kierowców, był inż. Napadewicz z sieci, paru jeszcze innych i to zaczęło się rozszerzać. Skurski wtedy mnie zaangażował do prowadzenia ewidencji tej całej organizacji, byłem coś w rodzaju sekretarza.



Był to okres organizacyjny, tzn. nie było jeszcze akcji, tylko była podbudowa ideowa. Nie miało to charakteru jakiejś grupy socjalistycznej, czy jakiejś innej grupy politycznej. Nigdy zresztą to żadnej partii politycznej nie należałem, ani organizacji. Byłem polskim patriotą i uważałem, że jeśli Niemcy, czy Bolszewicy napadli na Polskę, ~~czy naszą organizację~~, to naszym obowiązkiem jest z nimi walczyć. Żadnych innych przesłanek nie uznawałem. I do dzisiaj w żadne idee nie wierzę.

W grudniu 1939 była wielka wampa. Tym który całą organizację denuncjował był jeden z majstrów z gazowni - nazywał się Robotycki. Zaczęły się aresztowania. Skurskiego, Napadewicza, Podlewskiego i kilku innych zostało aresztowanych przez NKWD. Wszystkich wywieźli do więzienia wojskowego na Zamarynowie. Dla mnie ta sprawa była bardzo nieprzyjemna, ponieważ byłem w tym wszystkim, ale mnie nie aresztowali i nie wiedziałem dlaczego? Nie wiedziałem, czy oni o mnie ~~nie wiedzą~~ nie wiedzą, czy powiedzą z jakiegoś innego powodu moje nazwisko nie padło, ale prawdopodobnie padło, a NKWD chciało poprzez obserwowanie mnie, dobrać się do mojego ojca i do całej rodziny.

Jeżeli była tylko domniemana przez nich organizacja to zaraz dookoła wszystkich aresztowanych. Sprawa najważniejszą dla NKWD było, żeby jak najwięcej ludzi siedziało i nieraz było tak, że ktoś całkiem niewinny, który nic nie zdiagnozował siedzi siedzieć, bądź został zamordowany. To miało oznaczać, że NKWD jest bardzo czynne i czu-

ne. Mój ojciec przed wojną był dyrektorem gazowni we Lwowie i prof. na Politechnice - należał do inteligencji polskiej, czego władze sowieckie szczególnie ~~bardzo~~ nie lubiły i <sup>do czego</sup> były bardzo wrogo nastawione. Mogło im o to chodzić, żeby ojca mojego usunąć. Ja miałbym ich na jakiś ślad wtedy naprowadzić - tak to sobie wtedy wyobrażałem.

Przyszło Boże Narodzenie 1939 i trzeba się było w końcu wziąć do jakiejś roboty.

Mogłem pracować jako młody inżynier i zarabiać 400 zł/jeszcze wtedy rubli nie wprowadzili/, co było bardzo mało. Chciałem pójść na szefera mechanika na długich trasach, ponieważ dosyć dobrze znałem się na ~~tych~~ tych sprawach, bo przed wojną prowadziłem do spółki Szkołę Samochodową. Posiadałem prawo nauczania i Międzynarodowe Prawo Jazdy, które było czymś bardzo rzadkim w tymtych czasach. Poza tym praca ta dawała możliwości dorabiania i była zajęciem swobodnym. Zgłosiłem się, ale chcieli zrobić ze mnie tzw. "zawgaraza", czyli szefa garaży. Moim obowiązkiem byłoby dozierać innych szefów jeżdżących na trasie, a ja bym musiał siedzieć na miejscu, co mi absolutnie nie odpowiadało.

Nie podjąłem się tego i wziąłem się mając trochę narzędzi do zegarków.

W gazowni wprowadzili straż fabryczną i wchodzenie do naszego domu obcych ludzi było bardzo utrudnione. Druga rzecz ważniejsza w tym wszystkim to to, że chciałem wyjść z domu, ażeby oficjalnie ogłosić w ten sposób, że zerwałem z domem i nie mam nic wspólnego. Przed samą decyzją pracy w zegarmistrzostwie starałem się wyjechać za granicę. Miałem razem z byłym przewodniczącym Związków Zawodowych gazowni we Lwowie z panem Stanisławem Machalskim i jego bratem, który był mechanikiem na lotnisku zamiar wylecieć ze Lwowa samolotem, ale sprawa upadła z tego powodu, ponieważ ~~z~~ samolot, który został gdzieś ukryty został odkryty przez Rosjan. Miałem znajomą rodzinę Krotechwilów, która mieszkała we Lwowie przy ul. Pułaskiego i w tej rodzinie było dwoje małych dzieci i był najstarszy syn, który był artystą malarzem. Wybierał się on także na zachód i z nim umowiliśmy się jechać. Sprawa znowu upadła, ponieważ moja matka miała zastrzeżenia co do tej decyzji, presja jej była bardzo silna. Marian Krotechwil poszedł i przedostał się na zachód i do dzisiaj jest w Londynie, zresztą bardzo uznanym malarzem. Ja pozostałem i wziąłem się do zegarków.



I tą pracownią zegarmistrzowską zorganizowałem u Krotechwilów. Przed tym Marian Krotechwil prosił mnie o opiekę nad rodziną. Mieszkałem u Krotechwilów i tam się uczyłem naprawy zegarków, ponieważ najważniejszą w tym wszystkim była praktyka.

Wieczorem przychodzili koledzy i graliśmy w brydża i zrobiło się dzięki temu weselej. Tak się śmiesznie złożyło, ponieważ omal wszyscy laryngolodzy z całego miasta tam do mnie przychodzili. Między innymi przychodził hr. Andrzej Petecki. Zrobiła się całkiem niezła paczka i trwaliśmy tak razem do momentu przyjścia Niemców.

Nastroj w mieście w tym okresie był bardzo nieprzyjemny. W stosunku do Rosjan odnosiliśmy się z pogardą. Zawsze wiedzieliśmy, że to są ludzie na szalenie niskim poziomie, którzy niczego w życiu nie widzieli, dla których zachód i to nowe środowisko było zupełnie obce. Rzucali się do zegarków, to dla nich nowość była kompletna, bo zegarek w Rosji zawsze był "cennieścią", tzn. majątkiem, a nigdy normalną koniecznością. Rzucali się jeszcze na jakies drobne rzeczy inne i tak dla przykładu: było brak pieniędzy, to nasi krewni chcieli sprzedać aparat radiowy i idąc na plac wzięli ze sobą kupę starych pocztówek i kartek świątecznych.

Czekając na kupców na ten aparat radiowy zebrała się grupa Sowietów, naprzód żołnierzy, a później oficerów, i zaczęli sobie te kartki wydzierać i płacili za nie, jak za zboże do tego stopnia, że za te kartki dostali dużo więcej rubli, niż chcieli wzięść za ten aparat. Aparatu nie sprzedali i cała ta sprawa dla nich była bardzo wygodna i korzystna. R

ruble wprowadzono już w 1940 roku. Całe "gospodarzenie" Sowietów łącznie z wymianą walut i nie tylko było czystym perfidnym złodziejstwem. W tym czasie złoto było po 30, 40 zł./g i to było dużo więcej, niż przed wojną, ale to nie była wysoka cena i tak. Sowietci zajęli wszystkie safeasy w bankach i powiedzieli, że będą wydawać złoto do 200 zł. wartości. Oficjalnie cena była wtedy po 12 zł./g, a na czarnym rynku wynosiła gdzieś około 30<sup>40</sup> zł./g.

W styczniu 1940 cena tego złota poszła strasznie do góry, <sup>cała</sup> zaczęli zamieniać złotówki na ruble i wtedy wzrosła do około 200 zł/g. wobec tego wydawać zaczęli w tym momencie tego złota za 200 zł., czyli jeden gram. Uznali oficjalnie czarny rynek jako kwotę do wypłaty, a nie wartość 12 zł./g - zwykle <sup>z/</sup> oszustwo i złodziejstwo.

Podobne były historie z właścicielami kamienic. Miałem znajomych, którzy mieli dwie swoje kamienice. Ojciec tych znajomych bardzo późno się ożenił i ciułał, ciułał pieniądze i z pensji wybudował dwie kamienice. Jak przyszli Sowieci to ich wyrzucili na półpiętro jednej ze swoich kamienic, przy czym za to jedno mieszkanie płacili więcej, niż wszyscy pozostali lokatorzy razem wzięci z obydwóch kamienic.

W okresie 1939/41 zaczęła się bardzo nasilać sowiecka propaganda. Cząsy tłumaczyli, że w Rosji jest wszystko większe - "bolsze", lepsze, itd. i na ten temat powstały temy dowcipów. Ta propaganda była na bardzo niskim poziomie i myśmy to odpowiednio kwitowali. Zrobili zebranie w Collegium Maximum na UJK i kazali tam ~~tam~~ m. in. i mojemu ojcu przyjść, ale zamiast ojca to ja poszedłem. Było tam bardzo dużo ludzi, a przede wszystkim było dużo profesorów z UJK i Politechniki Lwowskiej. Jakiś propagandzista mówił o tych olbrzymich swobodach i demokracji jaka jest na terenie Rosji. Stwierdził ten prelegent, że dowodem tej szalonej demokracji jest fakt, że w Rosji kobiety nawet są dopuszczone do głosowania: "- no, żenszcżyny gołosujet!". Jak ze sali padła odpowiedź, że w Polsce było to samo i we wszystkich krajach Eurppy również jest to samo, stwierdził na to, że to jest absolutnie nieprawda i przejaw bardzo wrogiej propagandy, której należy się strzec. Mniej więcej na takim to było poziomie. Na tym zebraniu zebrała się grupa ~~żydów~~ żydów - młodzieży żydowskiej, która chciała wysłać list hołdowniczy do Stalina, w którym miała napisać, że ojczyzną ich jest Rosja i ojcem tego wszystkiego jest Stalin.



Zabrał wtedy głos prof. Julian Klainer i powiedział: "Ojczyznę naszą nosimy w naszych sercach - Póki my żyjemy". Dostał olbrzymie brawa i do tej rezolucji z listem nie doszło.

Takich zebrań na terenie zakładów było masę i to się u nich nazywało "agit punkty". We Lwowie jak byłem 5 lat temu dowiedziałem się od siostry, która tam została, że obecnie na terenie miasta jest 180 punktów agitacyjnych. W czasie wojny musiała być też co najmniej taka ich ~~cyfra~~ <sup>liczba</sup>.

Zacząły się głosowania, tzn. Sowieci ogłaszali, kiedy będzie głosowanie i kazali się wszystkim zgłaszać i wrzucać kartki. Jaki efekt tego głosowania, co z tego wyniknie, czy to mają być ci, czy wybrani posłowie, czy wypowiedzenie się w rodzaju referendum, to tego nikt nie wiedział. Kazali przyjść głosować i na tym sprawa dalej się kończyła.

W roku 1940, albo 41 zorganizowali pobór do wojska. Byłem na komisji poborowej i w czasie tej komisji znalazł się jakiś garbaty poborowy. Usłyszałem takie zdanie ze strony komisji poborowej: "- Przecież ręce ma i karabin może nosić". Dostałem książeczkę wojskową/rosyjską! i zostałem zakwalifikowany jako "młodszy nadsiestaw"/oficer od stopnia porucznika do kapitana/. Powiedziałem, że kończyłem pedcherażówkę w Tarnopolu i że byłem dowódcą i oni to uznali.

Jeżeli chodzi o administracyjne sprawy, to np. ojcu nie pozwolili wykładać na Politechnice, bo kontakt z młodzieżą mogą mieć tylko Ruscy. Ojciec nie mógł być dyrektorem/dyr. gazowni lwowskiej/, bo dyrektorem mógł być, a raczej musiał być znowu Ruski, a więc ojca zdjęli i został głównym inżynierem.

Politechnika prowadziła nauczanie, ale to wszystko było ograniczone, ponieważ wszystko to było w rękach Sowieców.

Jeśli chodzi o sprawy administracyjne inne, to np. każdy musiał pracować.

Pod sam koniec, tzn. na wiosnę 1941 przyjechał sowiecki inspektor-komernik z Rosyjskiej Izby Skarbowej i stwierdził, że moja pracownia jest taka, a taka i muszę wobec tego zapłacić podatek. Wcześniej nie płaciłem żadnych podatków. Wyzaczył mi on kwotę do zapłacenia, w tym również zaległości, a była ona horrendalna i kazał mi zapłacić w trybie natychmiastowym wszystko. Odwołałem się na jakiś termin i tym się tylko skończyło, bo Hitler wypowiedział wojnę Rosji i sprawa w ten sposób została umorzona. Okres 1939/41 był okresem w którym nastąpiło wiele bardzo aresztowań i morderstw, jakich dopuścili się Sowietci na Polakach. Bezpośrednio przed moim przyjściem do Lwowa kazali wszystkim oficerom zgłaszać się na pl. Bernardyńską i o tym dowiedziałem się zaraz po przyjeździe do miasta. Z wszystkich oficerów stamtąd wywieziono i nimi zapełniono jak wiadomo Starobielsk, Ostaszkowo i Kozielsk.

Z tego, co pamiętam, to aresztowania inż. Skurskiego wraz z całą grupą i specjalnych jakiś większych aresztowań nie pamiętam, choć NKWD szukało bez przerwy ludzi mogących mieć coś wspólnego z jakąkolwiek konspiracją. Natomiast były tzw. "wywózki". Listy do tych "wywozek" układała jakaś grupa żydowsko-rosyjska. Dużych "wywozek" było chyba 3, ale dat ich nie pamiętam. Wiem, że jedna była latem, a druga zimą. Wiedzieliśmy, kiedy te "wywózki" będą, bo wtedy wszystkie samochody ze wszystkich zakładów pracy były na noc rekwirowane. To się tylko zawsze w nocy odbywało. Kogo wywożono? Z prowincji wywożono kolonistów, Polaków ze wsi mieszanych, natomiast ze Lwowa byli wywożeni ludzie, którzy byli bogaci, a więc właściciele kamienic, zakładów, policjanci, rodziny wojskowych. To nie były aresztowania, tylko jak już powiedziałem "wywózki", chociaż to jest jedno i to samo, bo dobrowolnie nikt nie chciał jechać, mimo, że na wagonach były napisy, że jadą dobrowolnie. Przychodzili w nocy i mówili: "zabieraj się z wieszaczami". Ludzie brali co im w ręce wpadło i gdyby ci aresztowani orientowali się trochę lepiej, to przede wszystkim



brali by kożuchy i futra. W tych warunkach w jakich oni jechali, i bez kożuchów, śmiertelnych zgonów było szalenie duże. Był taki pociąg w którym prawie wszyscy byli zamaznięci. Trupy były wyrzucane na śnieg, a pociąg jechał dalej. Wcześniej te trupy roz-bierane zabierając z nich cenniejsze rzeczy.

Przy żadnej "wywózce" bezpośrednio nie byłem, tylko dowiadywałem się od innych, jak to wszystko wyglądało. Samochody czekały pod kamienicą, "bojcy" wchodziłi na górę i kazali zabierać rzeczy, czekali niektórzy czasem pół godziny, ale najczęściej tylko 10 minut i cała rodzina wraz z dziećmi była zabierana do samochodu. Tymi samochodami wieźli na dworzec i tam bezpośrednio ładowali do wagonów. Wywózki te były bardzo przykre i nie było na to żadnego sposobu.

Bezpośrednio przed 22. VI. 1941, bo wojna niemiecko-rosyjska zaczęła się w poniedziałek, a we Lwowie Niemcy byli w sobotę późnym wieczorem, <sup>już</sup> od środy było słychnąć straszliwe ryki i jęki w więzieniach. W więzieniu miejskim na tzw. Brjgiłkach na ul. Kazimierzowskiej zostały zamurowane drzwi i cały budynek został podpалony razem z więźniami. Jeżeli chodzi o więzienie wojskowe na Zamarstynowie, to do każdej celi wrzucali wiązkę granatów. Siedział tam inż. Skurski z całą resztą od momentu aresztowania. Widziałem straszliwie pokaleczone ciała wewnątrz cel. Osobną sprawą jest więzienie na Łąckiego. Tam od środy unosił się straszliwy fetor i było słychnąć właśnie tam najbardziej te ryki i jęki. Porozumiałem się ze swoim znajomym - panem Frankowskim i poszedłem na Łąckiego. Przelazłem przez bramę z aparatem fotograficznym i to co zobaczyłem tam na miejscu to przechodzi wszelkie pojęcie. Zrobiłem tam zdjęcia. Więźniów ściągali z cel ciągnąc za nogi po schodach i mordowali na podwórzu. Kobiety miały powycinane piersi i powydzierane paznokcie. Najczęściej mordowali nożami, czasem strzelali, i to rzadko. Jakiegoś księdza

20. VI  
P. Skurski

powiesili za szcękę na haku. Książ ten miał rozpiętą sutannę, ze środka wychodziły wnętrzności i do tego miejsca wstawiono dziecko wyciągnięte jakiejś kobiecie. Bestialstwo nie z tej ziemi! Chciałem wejść do piwnicy - nie dało się, tak była gruba warstwa krwi, że nie można tam było wejść. Poszedłem na górę do miejsca, gdzie odbywały się śledztwa. Widziałem przy jednym z biurk siedzącego nieżyjącego już Rosjanina nakrywającego swoją twarzą blat biurka. Z tyłu miał całą głowę rozwaloną od strzału z broni palnej. Nie chciałem iść, albo nie chciałem mordować i tam go na miejscu zastrzelili. Tak się zakończył okres "pierwszych Rosjan".

Te fotografie, które tam zrobiłem oddałem panu Frankowskiemu. To był naczelnik któregoś z oddziałów poczty w Hrebenowie i - znałem go jeszcze na długo przed wojną i był to człowiek muszę przyznać bardzo na poziomie. Wiem, że te zdjęcia oddał do jakiejś organizacji konspiracyjnej do której należał. Nie pytałem do jakiej, ze względów konspiracyjnych, a drugą rzecz to wolałem nie pytać w związku ~~xxxx~~ ze sprawą aresztowania organizacji inż. Skurskiego, ponieważ byłem podejrzany również i ja. Pan Frankowski miał dwóch synów, których zastrzelili Niemcy, ponieważ w AK też była wsypa. Byłem zaprzyjaźniony z tym panem, miałem dobry aparat i byłem wysportowany, a poza tym chodziło mi o to, że chciałem coś zrobić i dlatego robiłem te zdjęcia. Co się z nimi stało nie wiem do dzisiaj.

Przyszli Niemcy. Muszę tutaj przyznać, że ludność witała Niemców z radością - entuzjazm nie, z radością, że pozbyli się bolszewików. Bolszewicy zaczęli dopiekac nie tyle samymi "wywozkami", ile panoszeniem się NKWD. Poza tym warunki pracy w zakładach pracy były bardzo nieprzyjemne. Zarobki były bardzo kiepskie i ludzie z Niemcami wiązali jakieś nadzieje, że z punktu widzenia warunków życia będzie znacznie lepiej. Myśmy widzieli Sowietów i w rzeczywistości ~~xxxx~~ takimi byli, tzn. jako ludzi bardzo prymitywnych i ludzi, którzy nam nie dorównywali, a oni chcieli nami rządzić.



Te było bardzo nieprzyjemne - uwłaczające. Przecież taki "kołtunow", czy jakiś inny uważał się za wielkiego człowieka i robił sobie z nami co tylko chciał.

Później dopiero zaczęły się sprawy niemieckie, zresztą bezpośrednio dotyczące mojej osoby. Pierwszą rzeczą moją, jaką zrobiłem za Niemców to było uregulowanie sprawy mojej pracowni zegarmistrzowsko-jubilerskiej. Zgłosiłem oficjalnie pracownię. Zostałem ryczałt, który musiałem w takim, a takim terminie wykonać i swata ta nie była już tak wygorowana, co mnie to bardzo ucieszyło. Sprawa druga to była historia mojego przyjaciela, szefa dyrektora Barzwa skiego, który przed wojną był naczelnym dyrektorem PCKI Inu/Tolskie Oleje Mineralne - odpowiednik dzisiaj szefa CPKu/. Bezpośrednio na dwa lata przed wybuchem wojny został najpierw dyrektorem departamentu, a później vice ministrem. Miał dwóch synów i dwie córki. Obydwaj synowie zginęli w powstaniu warszawskim. Barzwaśscy z początkiem wojny uciekli z Warszawy i przenieśli się do Krzemieńca, a następnie z powrotem chcieli wrócić do Warszawy i w tym im właśnie pomógł.

Syn Stefan siedział w Z 3. Przyjeżdżał później do Lwowa w sprawie organizacji we Lwowie Armii Krajowej - był i czułkiem.

Był vice komendantem batalii w czasie powstania, ale mieszkał od razu w drugiej linii powstania traktując go jako i tak niezabranie" jego ostatnie słowa: "Ja jeszcze nic nie zrobiłem, a ja już muszę umierać". Młodszy syn, młodszy brat - Stefan brzoś udział w ataku na "Pustkę" i też poległ.

Niemcy zawieźli nasze rzeczy, przeważnie zawieźli się z Ukrainami. Wraz z tymi złąkami niu dosyć nieprzyjemna historia. Wjechał na jakąś wieś i został zatrzymany przez Ukraińców. Wtedy ten trochę kłota ściągnął dla archeologów, bo u nich było bardzo kiepsko. Wziął w jakiejś piwnicy i u piero ojciec z jakimiś Niemcami przyjechał i mnie wyciągnął.

Ojciec miał dosyć dobry kontakt z Niemcami, dlatego, że Niemcy wszystkich fachowców, a w szczególności wyższej klasy bardzo uważali, tak, że dzięki temu nie miał problemów z pomocą dla mnie. Gorzej było, jeśli ktoś był zaangażowany w jakieś sprawy polityczne - ruszało wtedy Gestapo i na to już nie było sposobu. Cała administracja niemiecka zawsze była w stosunku do profesorów na miejscu, jednak wstawało robiono swoje historie - zależało im bardzo, żeby usunąć cały element polski. Nawet w nie tajnej umowie Ribentrop-Łotow był to jasno określone - na temat kłóstwa polskiego, a w szczególności ludności polskiej. Sprawa następną w tym czasie to sprawa Datoskiego - salarza wysokiej klasy, profesora zwanego panią Krotochwilów. Datoski przyszedł i do Krotochwilów i w czasie rozmowy ze mną zaprosił mnie do siebie. Prosił, abym krótko przyszedł. Poszedłem do niego. Zamalował mi portret, obdarował mnie swymi obrazami, które do dzisiaj służą wprowadzić do Polski, ale bezskutecznie. Gdy byłem pięć lat temu w Łowie powiedzili mi, że poszczą mi Kossaka, ale Datoskiego w Ładym razem - to są moje obrazy i wiesz, a mojej siostry we Łwowie i jest bardzo cenna pamiątka, która chyba bezpowrotnie przepała. Kolejny przyjazd sowieckiego stocznicy, sprzątały salony polskiej. Powiedział mi wtedy Datoski, że jeśli ja coś mogę mieć wspólnego z organizacją, to żeby absolutnie nie przesłał rodziny Krotochwilów, bo ja to bardzo proszę i to było powodem dla którego spalił się właśnie przy ulicy Supińskiego na drugim piętrze pod nr 10. Datoski nie miał wspólnego z organizacją, a zaprosił mnie do siebie w celu odwiedzenia ze mną ochronny rodzinny Krotochwilów, ponieważ ja tą rodziną się opiekowałem. Pod tym numerem 10 mieszkała profesorka fortepiano - pianistka, pani Ziberowa i całą swoją pracownię przeniósł do jej mieszkania. To mi zresztą bardzo odpowiadało, ponieważ teraz było łatwiejsze dojście dla ludzi do w jej pracowni no i przypadkowo na tę ulicę Supińskiego.



I stąd później zakusy Niezabitoskiego, który wcześniej znał moją rodzinę. Przyszedł do mnie do pracowni niby z jakimś zegarkiem, ale to nie o zegarek chodziło. Rozmówka była na zupełnie inne tematy. - "Czy pan jest zaprzysiężony i przez kogo? - Owszem - i podał nazwisko Skurskiego. - Świetnie, to jest pan teraz u nas". Tak mniej więcej ta cała rozmówka miała wyglądać. Dodał jeszcze, że "to jest miejsce odpowiednie, bo tu każdy może przyjść" - i to mi wtedy nie powiedział, że naokoło jest cała delegatura i w tym momencie zaczyna się sprawa delegatury rządu, której zostałem członkiem.

Na tej rozmowie zgłosiła się pani Felczyńska - żona profesora UW, którego nie było we Lwowie. Była łącznikiem pomiędzy Delegaturą, a AK - tak mi się oficjalnie przedstawiła. Powiła, że bezpośrednio z Niezabitoskim nie może się kontaktować ze względów zrozumiałych i wszystko co trzeba załatwić, to poprzez chłopca. Był chłopak ~~z~~ syna inż. Kopyca - jak się później okazało - też członkiem delegatury. Nie wiem czy on się zajmował w delegaturze, a tak w ogóle wszystko, co dotyczyło delegatury to było zawsze wiecie & "nie wiem". Konspiracja w Delegaturze była bardzo głęboka. W AK było o wiele lżej. U nas za niewykonanie polecenia była z niejaka kara w łeb, a w AK było zawsze <sup>naj</sup>pierw ostrzeżenie i to była różnica. Przyszedł chłopak, na imię miał Krzysiu i on już wiedział, gdzie ma chodzić. Niezabitoski wcześniej mówił jeszcze, że "pracownia ma być żywa, tu ma się robić i pracować. Te zegarki mają być naprawiane, pan handluje złotem i niech to idzie pełną parą" i chłopak obchodził z workiem wywijając, a w środku był kilogram złota i co tydzień ten worek jechał do Warszawy. Auch był duży w tym całym interesie handlu złotem, a szczególnie wtedy, kiedy Niemcy robili akcje z Żydami. Różnica cen była bardzo korzystna i widać było ciągnąć złoto, a Żydzi je bardzo chętnie oddawali.

Klijentów miałem bardzo dużo do tego stopnia, że musiałem sobie pościągać pracowników. I takim pracownikiem był Marian Lachowicz, pan Varanka/advokat, który się później okazał bardzo czerwony i również czerwona okazała się pani Kólczyńska, jej mąż w czasie kiedy go nie było we Lwowie był na super kursach w Moskwie i później został vice marszałkiem sejmu, a z kolei Varanka został sekretarzem na Uniwersytecie Wrocławskim i Politechnice. Ciekawa rzecz była później - w momencie przyjscia Sowietów do Lwowa w 1944 pani Kólczyńska momentalnie znikła, a Varanka natomiast zrezygnował z dalszej pracy w mojej pracowni/. Przychodzili różni i po twarzy zacząłem ich zapamiętywać, ale dopiero na procesie delegatury poznałem ich nazwiska, bądź je sobie przypominałem.

Przez Delegaturę były drukowane "Biuletyny" i tym zajmował się syn Niezabitoskiego - Andrzej, Waksman/syn "dwójkarza"/, Kidrer, Czuruk. To była najmłodsza grupa i właśnie młodzi mieli zajmować się ~~tych~~ tymi sprawami. Delegatura miała swoją grupę, jeśli chodzi o wszystkie <sup>historie</sup> radiowe, gdzie na przykład potrafili włączyć się do sieci niemieckiej i całą audycję BBC nadać. To była grupa elektryków, ale ich w ogóle nie znałem. To musiało chyba bardziej być związane z AK, bo tej grupy elektrycznej później na procesie nie widziałem. Była inna grupa, która dobierała się do kin. Chodziło o to, żeby niszczyć kina. Ja wtedy sam się trochę bawiłem w chemię i fabrykowało się "kakudelenki" i "naka-ptany", które po nadeptnięciu tak ładnie pachnąły, że do kina przez cały tydzień nikt nie mógł wejść. Ampułki te robiły straszliwy, cuchnący smród. Delegatura na pewno miała nad tym jakiś nadzór.

Niecy usiłowali zrobić pobór do pracy do Niemiec. <sup>ogłoszenia</sup> Wydrukowali i w tych ogłoszeniach było podane, gdzie ludzie mają się zgła-



szad o nazwiskach na taką, a taką literę w tym, a w tym czasie i w tym, a w tym miejscu itd., wszystko przygotowane było od a do z. Drukarnia nasza wydrukowała na takim samym papierze to samo ogłoszenie z tym, że kompletnie tak pozmieniali adresy, a najczęściej podawali adresy, których w ogóle nie było i wszystkie inne dane były również pozmieniane i te wszystkie poprzyklejali na wierzch tych niemieckich ogłoszeń. Nikt się nie zgłaszał i dzięki tej akcji nie doszło do wywozu. Takie drobne historie, ale stale się je robiło.

W Lwowie o tyle było nieprzyjemnie pracować, że oprócz jednego wroga - Niemców, był drugi - Ukraińcy. Byli oni na usługach Niemców, bo wierzyli, że Niemcy zrobią im wolną Ukrainę. Kiedy jej nie było i przypuszczano, że Niemcy tego też nie chcieli zrobić. Wykorzystywali ich zazwyczaj jako pomocników do jakichś nieprzyjemnych historii.

Ważną rzeczą były sądy w Legaturze. Pseudonimy się zmieniały, bo sędzia, prokurator i obrońca zawsze mieli pseudonimy: Kasper Melchior i Baltazar bez względu na to, kto to był. Wyrok zawsze musiał być napisany, posbity pieczęciami i wysłany do Niemców. Niemcy za każdym razem dostawali ten sam pseudonim, ale inne były podpisy i to wszystko było dla nich bardzo trudne do rozszyfrowania. Nawet, gdy ktoś dostał wyrok "ostrzeżenia" to tak się bał tego, że z miejsca ze Lwowa wyjeżdżał. Jak była kara śmierci, to trzeba było takiego człowieka "ustawić", tzn. trzeba było wszystko dużo wcześniej przygotować. Na samym końcu Zenek Konieczny dopiero szedł i wykonał wyrok. I tak dla przykładu. Agentem niemieckim był właściciel sklepu filatelistycznego na ulicy Zielonej we Lwowie. Trzeba było pójść do jego domu, wziąć jakieś super znaczki pożyczone nie wiadzieć od kogo i powiedzieć jemu, że jest taka seria do kupienia i to musi być tak załatwione, żeby Niemcy nie mogli się dowiedzieć.

Ten się zgodził, żeby u niego w sklepie załatwić transakcję na godzinę przed otwarciem. Otwierał o dziesiątej, to o dziewiątej się przychodziło. Przed godz. dziewiątą Zenek Konieczny <sup>miął</sup> polecenie, że musi się zgłosić pod taki adres i tam dostawał do ręki wyrok i drugi adres, pod którym z kolei dostawał adres skazanego i trzeci adres pod którym była broń. Nie dostawał broni do ręki, tylko na chwilę przed akcją i później ją musiał zwrócić. Tak się wyliczało czasy, żeby on nie czekał i wszystko sprawnie p szło. Wykonał wyrok, oddał broń i tak te sprawy przykładowo przebiegały. Wyrok musiał być doręczony, tzn. obok trupa zawsze musiał być wyrok.

Wyroki wykonywaliśmy wyłącznie na obywatelach polskich - mieliśmy regres tylko w stosunku do polskich obywateli pozostających na usługach niemieckich. Nie można było karać obywateli niemieckich. Nie mniej jednak Gestapo cholernie się bało - było to dla ostrzeżeniem. Trzeba było mieć wykazy wszystkich agentów Gestapo i tylko ci, którzy byli bardzo groźni i skutki ich działalności były poważne to w stosunku do tych tylko były sądy. To tych, którzy ~~byli~~ <sup>byli</sup> mniej aktywni ~~byli~~ <sup>należał</sup> na przykład Marian Mickiewicz, który był razem z nami na Łąckiego na procesie delegatury, co przedstawię później. Był agentem o czym wiecieśmy. Na procesie stwierdził, że on w najszybszym czasie wyjdzie na wolność - i rzeczywiście tak było. Poszedł na służbę do NKWD. W marcu 1944 dostałem cynk, że Niemcy <sup>do znajomych</sup> zaczynają za nią szukać. Wyniosłem się na jakiś czas po otrzymaniu tej informacji. Później była Wielkanoc i ukrywałem się u babki przy drodze Kelparkowskiej i tam dopiero mogłem się spotkać z rodzicami. W czerwcu dostaliśmy ochronę AK i wtedy wróciłem na miejsce i byłem tam do momentu aresztowania. Z mojego okna widać było balkon obok i na tym balkonie wieszano się wisiołek, albo kawałek szmatki i jeśli to wisiało swobodnie to znaczyło, że wozy



stko jest w porządku, a jeśli by tego nie było, to to było ostrzeżenie. To stosowaliśmy przez dłuższy czas i działało to dobrze.

Ostatni okres przed aresztowaniem poprzedzony był wejściem Sowieców do Lwowa. Sowieci dali tylko oddział czołgów, a resztę załatwiło AK, tzn. łączność, sanitarkę i wojsko i dzięki temu Sowieci do Lwowa przyszli 22 lipca 1944.

W całym mieście panowała euforia. "aczeliśmy chodzić z opaskami po mieście, ja miałem legitymację z fotografią, natomiast żołnierze mieli tylko karty z czerwonymi pieczęciami z wojskowości sowieckiej. Delegatura i wyżsi wojskowi mieli legitymacje z fotografiami. Legitymacje te dla nas załatwił Niezabitoski i to uprawniało do noszenia opaski. Ludzi z opaskami na terenie miasta było setki. To trwało do 4.VIII. - do momentu mojego aresztowania i całej Delegatury. Na kilka dni przed 4.VIII. do Lwowa przyjechało NKWD i podejrzewam, że wtedy ktoś nas musiał zadenuncjować. Pamiętam, że w czasie tej euforii przyszedł do mnie Niezabitoski i powiedział coś takiego: - "Niech pan wszystkie materiały, które ma pan w swojej pieczy/maszyna topografi czna, rotator, aparaty nadawczo-odbiorcze, granaty, pistolety, para stenów/ rozlokujecie u swoich znajomych, którzy nie byli w organizacji i to muszą być dobre skrytki". Miał widać zaufanie do mnie i do moich znajomych, ale stąd wniosek był jeszcze jeden: nie wierzył Sowiecom i przypuszczał, że nowa zacznie się coś dziać i te materiały będą potrzebne.

Za to właśnie, że byłem "chazajjninem" dostałem tylko 10 lat - najniższy wymiar kary.

Z nas nikt nie wierzył, bo znaliśmy okres 1939/41 i rzeczywistość później wszystkich członków AK aresztowano i mordowano, albo wysyłano na Sybir.

Po wyroku siedzieliśmy wszyscy razem i Niezabitoski rozstracał swoją wizję, że zostaniemy zwolnieni i miał podstawę ku temu, bo później, tzn. w połowie grudnia 1944 sytuacja tak wyglądała że byliśmy przygotowywani do zwolnienia. Był też seminar, aby nas zawieść do Moskwy na proces gen. Okulickiego, nawet ponoć sam lot był dla nas przygotowany.

Szczerbakow powiedział, że "Niezabitoski to jest bardzo sierjożny człowiek i bardzo się cieszy, jak może jego słuchać i z nim rozmawiać" - sam mi to "wyznał" w czasie jednego z przesiadka.

Dopiero po drugiej połowie stycznia przyszły jakieś zarządzenia odgórne i wtedy zaczęła się szalenie wroga akcja w stosunku do Polaków i stąd chyba aresztowania profesorów i dalsze aresztowania innych ludzi. Moja żona właśnie w tym czasie była aresztowana. Zaczęła się akcja wybitnie przeciwpolską - jak do tego czasu tego nie było.

Jak już powiedziałem Lwów był oswobodzony dzięki grupie ochotników rosyjskich i pomocy wojskowej ze strony AK. ~~W tym czasie~~ po ~~okresie oswobodzenia~~ jakimś oddziałem niemieckim przechodził przez Lwów i okazało się, że Niemcy będąc wewnątrz ugrupowań sowieckich, tam gdzie już Sowieci zajęli tereny potrafili się poruszać prawie bez szwanku. A ten sposób oddział niemiecki przechodząc poprzez Lwów od strony wysokiego banku i później przez ul. Rejczyńską przedostał się, jak już powiedziałem prawie bez szwanku. Widziałem, jak Niemcy wspaniale się bronili przed atakującymi Rosjanami. Sowieci szli za "tożkiem" bardzo zaryzykując, że ta armia może się poruszać do przodu. Niemcy opuszczali teren nie z powodu jakiejś przerwanej wojskowej, ale z powodu braku municji i łączności. Gdyby Niemcy mieli łączność z lot-



nictwem, to Sowieci mieli by grube kłopoty z posuwaniem się naprzód.

Euforia nie trwała długo, ponieważ NK D zaczęło stopniowo co raz szerzej pancerzyć się. Ludzie cieszyli się, że nie ma Niemców, ale przyszło coś o wiele gorszego i wszystko prysnęło. 4.VIII.1944 r. byłem u siebie w pracowni. Nie wywieszano się już wtedy żadnych znaków ostrzegawczych. Usłyszałem dzwonek do drzwi i raptem trzech "bojców" wlatuje do środka mojej pracowni. - "Ruki wierz" i kazali nam siedzieć. Jak oni wpadli, to była tylko pani Ziberowa i nie było nikogo więcej/?. Z upływem czasu zaczęli się schodzić różni ludzie do mojej pracowni. Przyszła wtedy łączniczka, pani <sup>Anna Dworkin</sup> ~~Anna Zymczyk~~, K. Lachowicz, L. Kornicki i stróżowa, którą też zabrali i cała masa różnych przypadkowych ludzi. Siedzieliśmy tam u mnie parę godzin. Z tego, co zdążyłem zauważyć, to zaczęli kraść aparaty fotograficzne, narzędzia - wszystko, co im w rękę wpadło to zabierali. Załadowali nas do samochodu i zawieźli na ul. Bałuckiego. Prowadzili nas do jakiejś czynszowej kamienicy zajętej przez NK D. Samochód wrócił i ściągał dalej następnych ludzi. Kocioł, który zrobili w mojej pracowni trwał przynajmniej przez dwa tygodnie. Wystarczyło, że ktoś się tylko zbliżył do pracowni był z miejsca zabierany. W czasie śledztwa wypytywali mnie o różne nazwiska i ja im tłumaczyłem, że to są ludzie przypadkowi, których nie znam. Sasiadka przyszła - zabrali, chłopak, który z aleksiem przychodził również został zabrany. Nabrali ludzi w ten sposób bardzo dużo. Zawzili na Bałuckiego, albo na Łackiego. Do miesiąca tych wszystkich przypadkowych ludzi pozwalniali, których bezmyślnie nałupali i tak został zwolniony Kornicki, który wpadł im w ręce przypadkiem, ponieważ wybrał się do mnie na brydża. On nie był związany z organizacją bezpośrednio, lecz ja go pośrednio zaangażowałem w jedną sprawę, która się skończyła dla niego nieprzyjemnie.

Nieprzyjemnie, lecz sam jest chyba sobie winien, co opowiem niecóż dalej.

Ci, którzy mieli coś wspólnego z Delegaturą siedzieli na Bałuckiego i tam przychodził co chwilę jakiś "pajac", który każdemu cicho do ucha szeptał: "Sebastian", "Sebastian". Nie wiedziałem o co chodzi, ale wiedziałem, że to był pseudonim Maksmana. Później szeptali: "socjalizm", "socjalizm".

Nigdy w żadnej partii nie byłem, nie uważałem, że to jest konieczne, czy potrzebne, chciałem być zawsze powyżej wszystkich partii i na to wszystko zawsze się patrzyłem z góry. Na Bałuckiego siedzieliśmy chyba dwa, trzy dni. Widziałem tam Kiezbartoskiego.

Prawdopodobnie ci, którzy deklarowali się jako socjaliści, czy też chcieli być kapusiami w stosunku do innych, bo ten sposób pytania i jego forma sugerowała zapowiedź na jakieś poufne zwierzenia był chwytem do przejścia na drugą stronę. Po tych kilku dniach przewieźli nas na Łackiego. Byłem kiepsko ubrany i było mi bardzo zimno. Od stróżowej, którą zabrali razem z nami dostałem jakąś kapkę. Ona prawdopodobnie wracała do domu i tą kapkę miała przy sobie i ja ją później od niej dostałem, dzięki czemu mogłem ochronić się przed zimnem. Zapoznałem się wtedy z pluskwami, których tam było niezamie. Siedziałem sam w celi. Wspaniałe "doprosy" na śledztwie zarówno w dzień, jak i w nocy. Byłem tym tak zmęczony, że później przy jakimś podnoszeniu się w górę z ziemi straciłem przytomność i uderzyłem głową w kaloryfer. Do dziś mam bliznę. Te śledztwa bardzo człowieka wycieńczały, bo jeśli nawet czło-  
wiek rano wrócił ze śledztwa, to nie pozwalała mu spać służba więzienna, co chwilę otwierały się drzwi i klawisz szarpaniem bądź kopaniem budził mnie.



Pytali mnie przede wszystkim o tych, których aresztowali u mnie w pracowni, a prócz tego ~~śledztwo~~ śledztwo było prowadzone na temat Delegatury. Oświadczyli mi, że to jest "podpolna" organizacja, a więc tajna organizacja przestępcza, bo tak oni te rzeczy określali. Przez pierwszy miesiąc, ponieważ u nas była używana rotacja pseudonimów trudno było określić, kto jaki miał pseudonim. Nazwisk się nie znało, pseudonimy się zmieniały wobec tego trudno było inaczej określać jak: wysoki, niski, brunet, rudy, w okularach, szczerbaty itd., więc fabrykowałem tych znajomych, którzy przychodzili i odchodzili. To była pracownia zegarmistrzowska, więc każdy tam mógł przyjść. Po miesiącu zaczęło mi się to wszystko kręcić. Te imaginacje mi się pomieszały i później było bardzo dużo różnych nieporozumień z tego powodu, między innymi o to chodziło, tylko, że to bardzo było męczące.

Jak mówien po miesiącu zostałem zwolniony Leszek Kornicki. W miesiącu września, albo już października zrobili tzw. "licząc stankę", tzn. miałem się bezpośrednio spotkać z Niezabitoskim. Zaprowadzili mnie na <sup>przy czym</sup> śledztwo, a korytarzami więziennymi zawsze szło się pojedynczo, bo jeśli mnie ktoś mijal, to trzeba było stanąć przodem do ściany i z rękami do góry czekać, aż przejdzie. Zostałem zaprowadzony do sali śledczej i tam były ustawione dwa krzesła obok siebie, ale stojące do siebie tyłem. Posadzili mnie na jednym krześle i za chwilę przyprowadzili Niezabitoskiego, który usiadł za moimi plecami. Niezabitoski zwykle do mnie mówił "proszę pana", albo "panie Jurku", a tutaj zaczął bardzo oficjalnie: - "Panie Piwoński.....", i po takim wstępie wziął łem, że muszę uważać na każde jego słowo i on mówi dalej: ".... .., zwolnić pana z przysięgi nie mogę, bo nie ja ja od pana odbierałem.

Wie pan o tym, że nie mamy żadnych tajemnic przed władzami ZSRR i proszę wydać wszystkie rzeczy, jakie panu powierzyłem pod opiekę, a więc: dwa aparaty nadawczo-odbiorcze, maszynę topograficzną, rotator, dwa ~~gra~~ rewolwery i granaty". Po tym wszystkim wyprowadzili nas, a mnie zaprowadzili do innej sali. Szerbakow do mnie z pretensjami: - "Dlaczego ja tych rzeczy nie oddałem?" Powiedziałem mu, że "wyście mnie o to nie pytali". Zdenierowało go to strasznie. Zrozumiałem z tej całej konfrontacji, że sprawa rotatora i maszyny topograficznej wyszła na jaw i wie- dzą także o aparatach radiowych, ale Niezabitowski mówił tylko o dwóch, a myśmy mieli dwie duże paki i jeszcze pięć małych aparatów, które były nowocześniejsze i te były zupełnie gdzie- indziej. Jasne było, że należy oddać te dwa aparaty, a jeśli chodzi o rewolwery i granaty to miałem je też gdzieś gdzie- indziej pochowane i nie miałem z tym problemu. Najważniejsze było, że trzeba oddać rotator i maszynę topograficzną, z tym, że te rzeczy właśnie znajdowały się u Kornickiego. Kornicki siedział przez miesiąc, a następnie został zwolniony i przypuszczałem, że po tej nauce dawno już uciekł i jest daleko, bo przecież powinien zdawać sobie sprawę, że nie to przelewki, ani żadna <sup>sa</sup> jakaś ~~zła~~ zabawa. Dlatego spokojnie powiedziałem, że ~~XXXXXXX~~ <sup>rotator</sup> zaniósł do piwnicy Kornickiego, przy czym rodzice jego nic o tym nie wiedzą. Okazało się później, że Kornicki jeszcze spokojnie siedział sobie w domu. Przyszli do niego i go aresztowali. Bardzo nieprzyjemna sprawa była też z tymi dwoma aparatami nadawczo-odbiorczymi. Mój przyjaciel, pan Kurca, który w organizacji nigdy nie był, ale często do mnie się zwracał z pytaniem, czy nie mógłby się gdzieś zaczepić, to chciałby coś zrobić, ale ja wiedząc, że on nie jest specjalnie odważny nigdzie go nie kierowałem. Ale do niego zaniósłem te dwie duże paki, a tych pięć było schowanych u syna inż. Kopicza. Kopicz był członkiem Delé-



gatury i to co się dowiedziałem o inż. Kopaczu przed aresztowaniem Delegatury miało z jego ust tak brzmieć: "Dalej z Delegaturą współpracować nie mogę, bo mam nastawienie lewicowe i dziękuję za współpracę. To co było dawniej nigdy nikomu nie podam i dalej już ze sobą pracować nie możemy, ponieważ nie widzę sensu". Syn Kopacza Krzys, był u mnie do <sup>pomocy</sup> ~~pracy~~ w pracowni i był to chłopak bardzo inteligentny, natomiast drugi syn inż. Kopacza był w AK i jak Niemcy otoczyli pierścieniem budynek to ten szczerbie przedarł się z dwoma rewolwerami kładąc kilku Niemców trupem, a następnie salwował się dalszą ucieczką, zresztą udaną. Miało to miejsce w 1941 r. we Lwowie. Krzysia wysłaliśmy na wieś, ale później wrócił i był we Lwowie na mieszkaniu ojca i tam właśnie były tych pięć aparatów.

Obawiałem się, że będą aresztować tego mojego przyjaciela. Szczerbakow namawiał mnie, żebym koniecznie podał adres. Zaczęłam mu tłumaczyć, że Kurc mu tego nie wyda, że tylko on mi to może wydać - muszę ja być sam na miejscu. Zarzuciłem Szczerbakowowi, że go zaraz aresztuje <sup>i powiedziałem mu, że</sup> i nie zamierzam wydać przyjaciela, a ten od razu daje "słowo cząści", że nie aresztuje mojego przyjaciela. " to nie wierzyłem i nigdy bym im nie uwierzył, bo to jest ostatnia hołota, jaka tylko może być. Léwiy dalej, że jak pojedzie, to nie nie zatatwi, więc namówił mnie w ostateczności, żebym napisał kartkę. Tłumaczę mu dalej, że kartka też mu nie wiele co da, <sup>w końcu</sup> ale piszę. Dali mi papier, i coś do pisania i zacząłem pisać. Myśmy Kurca nazywali "Cuba", a ja do niego tą kartką zatytułowałem - Zbyszku, tzn. jego imieniem, ale następne litery i zdania były tak ułożone, że odczytując z góry na dół można było odczytać lwowskie słowo "zwijaj", co znaczy uciekaj. On bardzo lubił rozwiązywać krzyżówki. Chodziło o to, żeby zdążyć uciec.

~~Wtedy tego~~ zostałem przywieziony samochodem na miejsce tzn. na ul. Stryjską, ale samochód w którym siedziałem zatrzymał się dużo powyżej Karienicy w której miała się rozegrać cała akcja. Okna w tym samochodzie były zakryte, tylko szyba przednia była odsłonięta i było jeszcze na szczęście lustro wsteczne. W tym lusterku widziałem świetnie, co się dzieje z tyłu. Zajeżdżał ciężarowy samochód z pięcioma "bojcami". Szerbakow, który jechał razem ze mną wysiadł i poszedł z tymi "bojcami" pod wskazany adres. Po pewnym czasie widzę, że mój kolega wraca z miasta. Stanął przy swojej bramie i rozmawia ze swoją jakąś znajomą, a ja tutaj nic nie mogę zrobić. Pożegnał się z nią i poszedł na górę. Po pewnym czasie schodzą "bojcy" z tymi dwiema pakami. Szerbakow zadowolony przylatuje do samochodu, a ja wtedy do niego z miejsca mówię: - "Słuchaj, ty mówił, że nie będziesz aresztował. - Tak, nie będę. - A po co ten samochód tam stoi? Pięciu "bojców" poszło do góry, a został tylko trzech?! - A, gdzie ty to widział? - A tu, w lusterku". Niedługo Szerbakow spoczął się, zaklął i wysiadł z tego samochodu z powrotem. Patrzę się dalej i widzę, że schodzi tych dwóch "bojców" z góry. Wraca do mnie i mówi: & "No to ty już jesteś zadowolony?" - Tak, ale naprzód pojedzie tamten samochód, a później my do góry". Klął jak szewc. Powiedziałem mu na dobitkę, że będę wrzeszczał - bo tylko to mogłem robić. Wysiadł i kazał tamtemu samochodowi odjechać i my dopiero za nim pojechaliśmy. Jak się okazało, Kuro skorzystał z tej okazji, bo zbiegł na dół i uciekł. Później był u nas w domu i był na mnie strasznie obrażony, moi rodzice mu pomogli i pojechał do Polski. Śledztwa trwały przez cały czas w dalszym ciągu, z tym, że wyłącznie były to śledztwa nocne. Z początku byłem sam w celi, gdzie było bardzo mało miejsca i był tylko ciekący na dodatek



kaloryfer. Obok w celi siedział prof. Brończyk z gimnazjum. Wydłubałem dziurę koło rury i rozmawiałem z tym profesorem. Można było się jeszcze w ten sposób porozumiewać, że wykręcając syfon z umywalki można było rozmawiać przez rurę. Nigdy się nie wiedziało z kim się rozmawia, trzeba było dopiero wy badać. Raz byli Polacy, raz Ukraińcy, informacje były niedokładne i nie zawsze się usłyszało to, co się chciało.

W połowie grudnia, a raczej przed tym czasem wyprowadzili mnie na śledztwo i na tym śledztwie dostałem herbatę, a także poinformowali mnie, że nawet moja pracownia do więzienia ściągnięto, co się później okazało prawdą, ale za to było czymś fatalnym w skutkach dla zawartości tej mojej pracowni. Jak się później sam dowiedziałem po prostu mylnie to wszystko wysłali. Narzędzia te powinny być wysłane na "peresyłkę" i mielibyśmy narzędzia tam do roboty, ~~no~~ ale wcześniej to zostało ograbione, bo nic nie przyszło z całego sprzętu. Rozmówki w czasie tej ~~herbatki~~ herbatki były bardzo "przyjacielskie" i Szczerbakow przez cały czas podkreślał, że będziemy niebawem zwolnieni, bo sytuacja zmieniła się, itd. Szykowali nas na zwolnienie. Powiedział także że byliśmy internowani, ~~XXXXX~~ a teraz już pojdziemy do domu. Dowiedziałem się, że innym Polakom też to mówiono i przygotowywano na zwolnienie. Po 15.XII.1944 przyszedł z Loskwy jakiś nowy rozkaz nakazujący na gwałt kończyć śledztwo i przygotowywać wszystkich do sądu. Śledztwo trwało jeszcze przez nieomal cały styczeń i pod koniec zaczął się sąd. Nie pamiętam, ile ten sąd trwał dokładnie. ~~XXXX~~ Przed sądem wszystkich nas przenieśli do jednej celi. Wszyscy byli w straszliwy sposób obrośnięci, bo to już pół roku śledztwa było i dobrze przez ten czas zdążyliśmy pozarastać. Zenek Konieczny jako fryzjer zaczął nas strzyć.

Zrobił sobie hecę z tego. Każdemu z nas zrobił jakąś inną brodę i przyznać trzeba, że po tym było widać, że jest dobrym fryzjerem. Brody były fantastyczne. Pan Łłoduński miał a la św. Piotr, czy też Marks, były brody rozdwojone, a na przykład Pokryszko miał rudą szpicbrudką i wyglądał z tą brodą wspaniale. Czuruk miał dolną szczękę cofniętą w tył i specjalnie przystojny przez to nie był, ale jak mu Konieczny wymodelował brodę, to chłopak niesamowicie wyprzystojniał !

Czuliśmy się tam dużo lepiej, bo mogliśmy ze sobą rozmawiać. Niezabitoski lubił bardzo tango "Śpij moje serce cichutko", to mu to tam śpiewaliśmy. W tej celi oprócz nas z Delegatury było jeszcze trochę innych więźniów i m. in. był Marian Mickiewicz, który był na wykazie agentów Gestapo. Nie był bardzo aktywny i dlatego w stosunku do niego nie było żadnego sądu, ani wyroku. Strasznie kręcił się koło nas, opowiadał różne śmieszne historie i powiedział taką jedną rzecz, moim zdaniem bardzo ciekawą. - "Słuchajcie, ja pójdę na wolność". Nie chcieliśmy wierzyć, ale on zapenił nas, że przyśle nam "peredacze", w której będzie pół "ówibaka", pół piernika i tam będzie wiele jeszcze innych rzeczy. I rzeczywiście, na drugi dzień przyszli na "bukwa" i Mickiewicz się zgłosił po uprzednim "sabiraj się z wieszczami" i ze wszystkimi rzeczami wybył z celi. Po trzech dniach przyszła do nas przesyłka w której dosłownie było wszystko, co on wymienił. Był fachowcem - wcześniej w Gestapo, a później w NKWD, i znalazł "zatrudnienie". Przekonałem się o tych rzeczach związanych z tą "służbą" z innego punktu widzenia. Gdy byłem w "Lomu matjeri i rjebjonka" spotkałem tam Ukraińca/nazywał się Michur/, który był w SS w "Hałączczyzna/Ukraińska Dywizja Niemiecka/. Został skazany na osobnym sądzie, bo oprócz Hałączczyzny miał tam jeszcze jakieś inne sprawy i wyroki.



Sam mi tłumaczył bardzo ciekawą rzecz właśnie związaną z tymi sprawami. SS "Bałajczycyna" była złapana przez wojska rosyjskie i wg jego relacji zrobiono następnie z tej dywizji lagier. Przez trzy miesiące trzymali ich w tym lagrze i po tym czasie wypuścili ich wszystkich do domu - nikt nie był karany.

Zgodnie z procesem narynberskim jest powiedziane, że SS jest organizacją przestępczą i każdy członek SS jest przestępcą i powinien być karany. Sowieci tego nie uznali i puścili ich wszystkich wolno.

Isimniej nastąpiła rozprawa Lelegatury. Było trzech sędziów. Tłumaczyli, że tylko jeden jest sędzią, a następni członkowie składu, to prokurator i obrońca, nie mniej jednak było ich tylko trzech i oni wszyscy nas sądzili. Na procesie było czterech ludzi z doktoratami prawa, tzn.: Niezabitoski, Waksman/oficer dwójkarz/, mecenas Świrski, a pódorganizator Batalionu Chłopskich/ i asystent był dyr. Lelegatury - dr Grzędzielski. Lelegat Ostrowski opowiedział się po stronie rządu lubelskiego i w zamian za to został zwolniony z więzienia i procesu. Był ambasadorem PRL w Szwajcarii, potem był w Krakowie okręgowym kuratorem szkolnym.

Naszym z nas proponowali jakąś wielką pensję i np. Waksman/cyr. Piarek/cyr/ uznali ten rząd lubelski, za co jeden został adiutantem Koli-Sywkierskiego, a drugi został sekretarzem Osóbki-Lecrawskiego. Mł. proponowali dyrekturą zakładów precyzyjnych w Warszawie. Te propozycje były składane w zamian za uznanie rządu lubelskiego i tylko o to chodziło, o nic więcej.

Niezabitoski był szefem I3 wydziału, czyli walki cywilnej. Waksman był "dwójkarzem"/wojskowy wywiad/ i w okresie 1939 r. siedząc rasy przekraczał granicę rosyjską. Świrski był związany z Batalionami Chłopskimi i ca się tymi wszystkimi sprawami zajmował. Spraw prawniczych było bardzo dużo i tym zawiadywał

Grzędzielski. Był jeszcze ~~Włodarski~~, który był szefem wywiadu Delegatury/wywiad wewnętrzny, zajmował się niebezpiecznymi agentami. Pokryszko zajmował się wszystkimi dokumentami/REB X/, wyrobieniem i podrabianiem wszelkich dokumentów, legitymacji, itd.. Łudem zajmował się Jygota-Bygulski. Dwóch młodych synów/ Waksman i Widrer to byli ludzie, którzy zajmowali się drukowaniem "Biuletynów".

Na procesie był jeszcze syn Niezabitoskiego - Andrzej i był szcenc, który miał u siebie punkt kontaktowy. Szcenc ten na procesie cała się, bardzo kiepsko, był kompletnie zdruzgotany i był to po nim bardzo widać. Był Kornicki i Lachowicz, który trzymał rewolwery. Lachowicz miał gruzlicę kości, stawu biodrowego/, także musiał o kulach chodzić, a raczej <sup>o</sup> Szczudłach.

Rozprawa zawsze zaczynała się od osoby Niezabitoskiego i tutaj chciałbym wspomnieć o różnych procesuralnych historiach.

Zgodnie z rozyskami kodeksu ścisłego prawo zeznawać w języku ~~XXXXXX~~ ojczystym i coście do kłótni, bo sądziłonie koniecznie chcieli, żebyśmy zeznawali po rosyjsku. Cała pierwsza sesja zerwała się, bo musieli znaleźć "przewodniczącą". Na drugiej sesji była ~~XXX~~ już "przewodnicząca", która była jakąś ukraińską prosty tatką. Sesyjami znala bardzo kiepsko i każde jej tłumaczenie było poprawiane przez ~~akazana~~, który władał się nie tyle jak, bo przecież tyle razy przecharzał się na teren Rosji w celach wywiadowczych, więc mógł coś tutaj na pewno powiedzieć, a poza tym była chętnie poprawiana przez nas wszystkich.

Oświadczyli nam ci sądziowie, że jesteście obywatelami rosyjskimi i nas nie wolno było brać udziału w polskiej organizacji, a więc od razu "podpolskiej" i antysowieckiej. Niezabitowski na to jako pierwszy odpowiedział, że na podstawie międzynarodowego kodeksu, paragraf taki, a taki, ustęp ten i ten, strona w tym wydaniu ta, a w innym ta, że "jesteście obywatelami polskimi



I jako obywatele polacy mamy pełne prawo brać udział w polskiej organizacji, tym bardziej, że działaliśmy wyłącznie przeciw Niemcom w czasie okupacji niemieckiej".

Po przyjeździe naszym w 1944 nie działaliśmy w ogóle, a jeszcze i na pogaliskę.

Taka sama odpowiedź dał Świrski, Waksman, Grzędzielski. Dopiero przy Żygocie-Lygułskim sprawa się trochę zmieniła. Tak samo się wypowiedział jak jego poprzednicy, ale sędziowie zapytali się go, czy był tutaj w Polsce w roku 1941 i czy głosował. Odpowiedział że był i głosował. Sędzia zapytał się go dalej: - "Na co pan głosował?" Żygota chwilę się zastanowił i odpowiedział: - "Czy wy jesteście przedstawicielami jurysdykcji rosyjskiej, czy zwykłymi szescami? Konstytucja ZSRR gwarantuje tajemnicę głosowania, a sąd ode mnie żąda wyjawienia tej tajemnicy!" Sekretarka, która z boku pisząc zaczęła kopnąć pod stołem głównego sędziego w nogę, zrobił się wielki szum i czyms prędzej to pytanie zostało wycofane. Może tu nie od rzeczy <sup>będzie</sup> powiedzieć, że pan Żygota-Lygułski ten sam, który za to wystąpienie dostał lat 15, później został ministrem w rządzie PK. Jak on to zrobił - nie wiem.

Wszystkich czterech z doktoratem prawa dostało po 20 lat, Żygota-Lygułski dostał lat 15, tyle samo Benek Konieczny. O ile się nie mylił, tyle samo dostał ~~Chodur~~ Chodur, a reszta dostała po 10 lat!

Jeżeli o mnie chodzi, to ja zostałem uznany oficjalnie przez władze rosyjskie jako "hazjajin Delegatury" i dlatego dostałem tylko 10 lat łagrów.

W ostatnim świecie, bo to nam jeszcze pozwolili powiedzieć, zażądałem, żeby mi wydali ten rewolwer. To była prośbaczka w stosunku do Szczerbakowa/głównego śledczego/. Wziął jeden rewolwer

dobrze ukryty i w czasie śledztwa wyjawilem Szczerbakowowi, gdzie on się znajduje. To był mój służbowy rewolwer, którym o się później bardzo przechwalał, zapeniał, że go ma, co było nie prawdą, ponieważ zdradzając fakt posiadania przeze mnie tego rewolweru i miejsca jego ukrycia podałem mu miejsce, w którym w ogóle nic nie mogło się absolutnie znajdować.

Wszyscy chcieliśmy trochę sobie pokpić z tej całej farsy, jaką niewątpliwie był ten proces i nie tylko. Na wesoło i z takim nastrojem mimo takich wyroków zakończył się proces Delegatury Rządu Polskiego we Lwowie.

Siedzieliśmy jeszcze przez miesiąc czasu na ~~Łódzkiego~~ Łódzkiego po zakończeniu procesu, ~~siedzieliśmy~~ wszyscy w jednej celi. Po miesiącu zaczęli nas wywozić, ale nie wszystkich. W pierwszej kolejności tych, którzy mają po 10 lat wyroku, t. k., że ja pojechałem w pierwszej kolejności na "peresyłkę". Wszyscy z nas musieli przejść przez "peresyłkę".

Jeżeli chodzi o główną "czwórkę", to oni zostali wszyscy wywiezieni na południe Rosji. Tam były lagry, gdzie nie było bardzo ciężkiej roboty i tam niestety zmarł Niezabitoski!

Co do Faksmana, to nie wiem do dzisiaj jakie były jego losy.

Dr Grzędzielski wrócił i był w Gliwicach. Chciałem się z nim zobaczyć, ale nic z tego nie wyszło, ponieważ zachorował na chorobę psychiczną i w ogóle nie dało się z nim rozmawiać. Przeżycia wiadać robiły swoje.

Włoduński zmarł w Rosji, był to już starszy człowiek.

Pokryszko był we Wrocławiu i zmarł tutaj na zawał serca.

Zenek Konieczny uciekł z "peresyłki" i wziął się do rozboju na Górnym Śląsku.

Nie wspominałem nic o Czaczkesie. To był <sup>2</sup>Żyd. Niezabitoski przy swoim wydziale miał ~~nie~~ także grupę ludzi. Byli oni potrzebni



do różnej roboty, m. in. np. do blokowania kin i ~~innych~~ <sup>innych</sup> co już wcześniej opisałem. Tam był właśnie Czaczkes i Csarak. Judenrat/1940-41/ żydowski w getcie i w lagrach żydowskich był przedstawicielem miejscowej władzy żydowskiej, wyznaczał np. Żydów na wykazy do roboty do Niemiec.

Wyznaczył ten Judenrat rodzinę Czaczkesa do zlikwidowania i Czaczkes widział na własne oczy, jak go Niemcy zarabowali ojca, matkę, brata. Uciekł od Żydów i poszedł do kościoła. Asiędzu to wszystko opowiedział i powiedział, że Żydów więcej nie chce znać i wtedy zmienił sobie nazwisko na Kucharaki i był później związany z Legaturą.

Był świetnie niemiecki z dobrym akcentem, był bardzo odważny i został u nas łącznikiem w Legaturze. Jeździł niemieckimi pociągami do Zakopanego i ponad niemieckim pociągami pojechał również do Londynu, co było czymś niesamowitym, lecz te informacje są ~~prawdopodobne~~ <sup>prawdopodobne</sup>, ponieważ sam mi o tym mówił. Jeździł po dolary. Informatorem RIX dla sądownictwa w Legaturze było Kripc. Od nich za dolary dowiadywaliśmy się kto jest agentem Gestapo i kogo ten ktoś wydał. Oni mieli wgląd we wszystkie niemieckie sprawy. Na podstawie tych materiałów dopiero się sądziło, że trzeba było te informacje sprawdzić jeszcze u innych Kripc, ponieważ to musiało być potwierdzone. Płacił tym Kripc można było tylko w dolarach, bo niczego innego nie chcieli przyjmować. Chłodunski dostawał do ręki dolary i te sprawy ~~zako-~~ <sup>zako-</sup> tniał. Była to tzw. grupa "zbików/zbiki", "zbiki", "zbikiII", która te sprawy załatwiała i później u mnie te meldunki składała. Czaczkes był łącznikiem jeżdżącym na dalekich trasach i mimo, że miał żydowski wygląd, potrafił sobie poradzić i jeździł niemieckimi pociągami. Jak z nim rozmawiałem to mi powiedział wtedy, że on sobie doskonale zdaje sprawę, że jak go Niemcy złapią, to go zabiją, ale Jesus i tak jest wszystko jedno, bo nie ma już rodziny.

Lachowicz był we Lwowie na "peresyłce" i później został zwolniony. Ostatnio jak byłem we Lwowie/5 lat temu/, to jeszcze się z nim widziałem.

Kornicki został wywieziony z "peresyłki" i nie wiem, <sup>co</sup> ~~ci~~ się z nim później działo. Gdyby chciał się wzięść do naprawy zegarków, bo mógł, to by się na pewno uchował, ale później w obozie było już bardzo trudno komukolwiek się utrzymać ze względu na ucieczki, jaka została zorganizowana na "peresyłce" w listopadzie 1945 roku.

Co się stało z Czaczkesem też niewiem, choć widziałem go parę razy na "peresyłce".

Gdy odchodziłem później z obozie na "peresyłce" do innego obozu /"Dom matjeri i rjebjonka"/, straciłem zupełnie kontakt i w tym <sup>- kolegami</sup> czasie nastąpiły dalsze wywózki zarówno nowych, jak i starych więźniów. Każdy, który coś umiał mógł się jakoś utrzymać w lagrze.

10 lat - to jest najniższy wymiar kary, ale praktycznie to jest kara śmierci, z tym, że człowiek musi się męczyć. Ja się właśnie uchowałem dzięki swoim umiejętnościom, to byłem zegarmistrzem, złotnikiem, szklarzem, gazownikiem i to niewątpliwie umożliwiło mi przetrwanie sowieckiej niewoli.

Tak pamiętam okres okupacji wojennej we Lwowie do roku 1945. Następny etap to były lagry w których musiałem spędzić kilka następnych lat swojego życia.

---

---



W miesiącu marcu 1945 roku zostaliśmy już po "osądzeniu" przewiezieni na "peresyłkę", tzn. obóz przesyłkowy, z którego wysyłali na etapy do Rosji, albo na Daleki Wschód. Ta "peresyłka" to jest miejsce organizacyjne, bardzo ważne dla całego systemu łagrow rosyjskich.

Została zorganizowana w tym łagrze pracownia zegarmistrzów ka. W pracowni tej brygadziści został Rosjajin - Kola Gorawniow i uczył się on u mnie naprawy zegarków.

Zaczął się dosyć duży ruch w pracowni, bo zegarków do naprawy było bardzo dużo i dodatkowo był brak ludzi, co z kolei m. in. pozwoliło na ściągnięcie Kornińskiego i Lachowicza. Pracownia zaczęła się rozrastać.

Jedną taką ciekawostką związaną z działalnością tej pracowni: zianowicie, żona generała z NKWD przyniosła zegarek do naprawy, złotą obieg, była złazana oska, więc zrobiłem i oddałem ku wielkiej uciechu pana generała i małżonki <sup>a. gawron</sup> i który ~~to~~ nawet podał mi rękę. Po dwóch dniach przyszła żona generała obwieszczając, że zegarek stoi. Nie wiedziałem, co jest, więc poprosiłem, żeby ten zegarek zostawiła do przeglądu. Okazało się, że zegarek w ogóle nie był nakręcony. Oddałem zegarek po urzędniczym dokładnym nakręceniu, ale to nie był koniec. Za trzy dni przychodzi ze straszną awanturą sam generał. Ziąłem od niego ten zegarek, wiedziałem, że nie jest nakręcony i przy nim nakręciłem i wszystko było w porządku, bo zegarek zaczął chodzić. Powiedział mi, że to jest zegarek, który trzeba codziennie nakręcać. Był strasznie zdziwiony "Tak to, taki dobry zegarek i żeby go codziennie nakręcać."

Ściągnęli do obozu olbrzymią ilość dużych stojących zegarów. Zegary te nie miały łańcuchów. Zwykle te łańcuchy były złoczone, a światłem wydawało się, że to jest złoto i to wszystko pokrali łącznie z grającymi gongami. Dostałem drut mosiężny, ~~zrobiłem~~ go ~~wypląsnąć~~ i zrobiliśmy nowe łańcuchy.

Potrzebne były maleńkie wkręty do drewna, nie można było tego dostać, jak to zwykle bywało u nich, a były konieczne. Okazało się, że są te wkręty w jakichś rosyjskich ściennych zegarkach, po cztery sztuki w każdym. Kupili 30 takich zegarków, żeby można było wkręty powyciągać i użyć do naprawy starych zegarków.

Pracownia solidnie się sdażyła rozwinięto, tak, że już było 16 ludzi w niej. Sprawa z zegarkami przeciągnęła <sup>się</sup> przez całą zimę.

Na wiosnę 1946 roku przywieźli 150<sup>0</sup> dzieci z Niemiec za przynależność do Hitlerjugend. Nie było miejsca dla tych dzieci, więc zmuszono je do spania na dworze i w marcu codziennie wynoszono parę trupów tych dzieci. Żal było tych dzieci. Były dobrze odżywione, dobrze ubrane, były niewinne.

Znalazł się tam na "peresylce" żołnierz z AK, bardzo ciekawa figura. Nazywał się Mieczysław Kupisz. Był synem organisty, sam miał ukończone studia muzyczne i miał absolutny słuch. Tworzył na miejscu wspaniały chór i myślny śpiewali w tym chórze. On układał pieśni, z tym, że musiały być w języku rosyjskim, albo ukraińskim. Lubił to wspaniale. Znalazł jakieś skrzypce i grał na nich Wieniawskiego, a także rzeczy trudniejsze, bo mistrza sztuki wiolonistycznej - Paganiniego.

W lecie 1945 pozatykane były przewody kanalizacyjne, ~~bar...~~ ~~nie~~ ~~owoci~~ <sup>nie</sup> mieli obchodzić się z urządzeniami kanalizacyjnymi, rzucaли ~~we~~ trepy do środka, tak, że w żadnym klozecie nie był sprząny, ani jeden syfon. Nic nie było czynne, przybijali kawałki deski <sup>dziurą</sup> nad ~~xxxx~~ i to była cała ubikacja.

Nie daleko od obozu przepływała Rektaw. Stwierdziliśmy, że konieczne trzeba będzie odkopać kanały w celu oczyszczenia rur. Przyjechał niejaki inż. Piotrowski i on zatwierdził kopanie kanału prowadzącego te przewody. Komendant lagru "zakluczony" pilnował osobiście kopania tych dziur. Następnie powołano radę, na której ustalono, kto może uciekać. Uciekać mógł tylko ten,



kto nie miał na miejscu żadnych krewnych, to Sowieci z miejsca za każdego, kto uciekł z domu brali po dwóch ludzi, zupełnie niewinnych, ale musiała się zgadzać liczba. Organizatorem tej rady przede wszystkim był Pokryszko. 16 ludzi uciekło. Nie było specjalnej organizacji, tylko u hydraulika i elektryka brygadzi- sta rosyjski/ schodziła się grupa Polaków, żeby słuchać BBC ~~razem~~ i tam właśnie zwyciężnie uzgodniono, żeby uciekać, bo jest ku temu dobra okazja. Między innymi była tam pani Magdalena Lukasz. Cała sytuacja związana bezpośrednio z ucieczką była bardzo dobrze zorganizowana, ponieważ w tym czasie ktoś legalnie wychodził na wolność z obozu i z nim się dostawało uciekinierzy uciekli, żeby on na nich czekał u wylotu kanału i żeby później ich bezpiecznie przeprowadził gdzieś dalej. Koszcy później znaleźli się na Czarnym Śląsku. Ja byłem od tego odsunięty, ponieważ na miejscu miałem całą swoją rodzinę.

Przed tą ucieczką w lagrze brygadziosta pracowni zegarmistrzowa- wskiej, Kola Gorawniow chodził co tydzień na wycenę "cenneści". Odbywało to się w shtable. Niewieździeliśmy co to jest, a Kola na ten temat nie za bardzo chciał mówić, ale sprawa w końcu się wydała. Przyszedł Abakumow/komendant lagru/ do Koli tak do nas do pracowni i pyta się: - "Słuchaj, białe złoto sjechestwujet? Kola na to: - "Obszeczne ~~to~~ białe złoto njet". "traciłem się wtedy i powieździałem, że jest białe złoto. - "A możesz dokazać?" - zapytał się mnie Abakumow. Odpowiedziałem, że tak i ten mnie zabrał ze sobą. Wszystkie złote rzeczy jakie mieli więźniowie przychodzący do lagru musiały być oddane do przeglądu i wpisy- wane miały być później na konto ~~ich~~ właścicieli tych rzeczy. Nigdy im tego nie oddawano i tutaj zamykała się cała sprawa. Mieli ci więźniowie obowiązek oddać te rzeczy w "depozyt". Była to fikcja i służyło to wyłącznie kradzieży.

Jeden z więźniów, jakiś oficer rosyjski miał duży sygnet własnie z białego złota. Koleś twierdził, że białego złota nie ma, a ten oficer, że jest. Koleś nie chciał tego uznać, więc ten drugi napisał skargę do Moskwy. Przyszła odpowiedź, że takie złoto istnieje i jak dowiedzieli się, że ja mam tego "dokaza" to zaraz wzięli mnie do domu, żeby przynieść sobie wszystko, co mi potrzeba do przerobki pierścionka. Właściciel zgodził się na przerobienie tego pierścionka na czyste złoto. Wyliczyłem im ile tego złota czystego będzie i podałem, że tyle, a tyle gramów będzie. Przyniosłem chemikali i zacząłem to przerabiać.

Musiał przy tym asystować naczelnik lagru, naczelnik CITK w obwodzie lwowskim/Okręgowo Poprawczo-Karne Kolonie/, inż. Piotrowski. Całą przerobkę od początku do końca robiłem w pracowni technika dentystycznego. <sup>Allegor</sup> ~~Pierw~~ działałem kwasem azotowym, gdzie wydzielają się wtedy olbrzymie ilości tlenu azotu i oni to wdychali, a jest to bardzo silna trucizna. Kaszlęli, cali byli czerwoni i zapłuci, ale musieli przy tym być. Ja w tym czasie poszedłem na spacer. Dawałem wody królewskiej, to ich nawet wydzielający się chlor nie odgonił. Ubaw miałem niezły z nimi. Przeprowadziłem wszystko do końca i stwierdzili po stopieniu przeżniętej starej masy, że jest dokładnie tyle złota ile im zapowiedziałem, że otrzymam. Od tej pory koleś wyrzucił i szacunanem od złota zostałam ja.

Jeszcze chciałbym wrócić do ucieczki. Po tej ucieczce przez trzy dni była "prowierka", przeliczanie odbywało się co pół godziny. Pamiętam, że uciekł Pokryszko. Liczenie, liczenie bez końca, i zaczęli przygotowywać etap i wyzisi Polaków. Wywieźli prawie wszystkich Polaków. Z tych pozostawionych to zostałam ja, jako "nieobchodzący", ~~ok~~ dr Markow - lekarz dermatolog, inż. Delebiński. Ten ostatni był właścicielem stacji obsługi samochodów we Lwowie. Nie był zaangażowany w żadną pracę poli-



tyczną, tylko został aresztowany dla rabunku. Chcieli go okraść, bo wiedzieli, że był człowiekiem bardzo bogatym. Trzymali go osiem miesięcy w więzieniu i nie mogli mu zarzucić żadnego przestępstwa, nie był z niczym powiązany. Wsadzili mu do celi jeki-  
goś kapusia i ten temu powiedział, że siedzi już osiem miesięcy i nie ma żadnego oskarżenia, a bez sądu można trzymać tylko najwyżej sześć miesięcy. Wystarczyło to, żeby go postawić wtedy pod zarzutem "nieudolijenia z sowieckiej własności". Dostał 10 lat. Jego rodzina zapłaciła dużą kwotę i odbył się później "peresod" i został zwolniony. Organizował on na "peresyłce" pracownię mechaniczną, a gdy został zwolniony przejął tę pracownię jakiś Rosjanin. I tutaj pamiętam ciekawą rzecz dotyczącą pracownika w tej pracowni. Rosji/koło Kijowa/ zebrali się osiemu wysoko postawionych w partii ludzi, którzy ukradli sieć parowozu i je sprzedali. Pieniądze z tego wzięli sobie do kieszeni & tyl-  
ko ~~mogli robić to~~ <sup>nie mogli zrobić</sup> wysocy partyjnicy, ponieważ bank nikomu innemu pieniędzy do ręki nie da, a im ~~dał~~ <sup>nie dał</sup> bez niczego. Wszy-  
scy dostali kary śmierci. Te już było liczone w milionach rubli. Zamienili im później te wyroki na 25 lat więzienia, a potem na-  
stępne wyroki były co raz niższe, tak, że ostatni wyrok wynosił siedem lat. Bardzo szybko im to zmieniali w dół i nie wszyscy z nich siedzieli w lagrach, a jeśli już to mogli z nich swobo-  
dnie wychodzić kiedy chcieli i jak chcieli. N. in. jeden z nich był mechanikiem w tej pracowni mechanicznej i jak pamiętam, to on miał właśnie stałą przepustkę i mógł wychodzić. Największa figura z tej grupy złodziejskiej jedździła do Polski i przywoziła dewizy za gaz odeprzedany PRL. Drugi z nich pod względem ważno-  
ści był w Złoczowie i tam miał wspaniałą willę, a trudnił się skupowaniem od chłopów zboża. Wszyscy oni <sup>zli</sup> ~~w~~ ten sposób <sup>izyła c.</sup> ~~byli~~  
~~właścicielami~~ ~~zys~~ - byli "partyjnicy". <sup>nie byli</sup>





Przywieźli do tego nowo powstałego lagru kobiety z dziećmi. Najstarsza z nich miała 27 lat, a najmłodsza ~~2~~ liczyła <sup>16</sup> wciśn. Wszystkie bardzo ładne, specjalnie wybierane, bo to miał być lager pokazowy. 150 kobiet, połowa Rosjanki, połowa Ukrainki. Dzieci tych kobiet, to były przeważnie dzieci śledczych, jako efekt procesu śledczego. Łaźnia była tak zrobiona, że te kobiety nie mogły same sobie regulować tylko ja ~~musiałem~~ musiałem to robić. Ukrainki przysięgały, że słowa po polsku nie powiedzą, ale w stosunku do mnie nie tylko mówiły po polsku, ale również przychodziły się ze mną dzielić "peresiecz", którą dostawały z domu. Kobiety w tym lagrze były do czasu, kiedy dziecko osiągnęło drugi rok życia i wtedy takie dziecko odsyłane było do domu, albo było oddawane do "Djet domu", a te kobiety były wysyłane wtedy na Sybir. Natomiast, gdy znowu miały dziecko to ~~musiały~~ <sup>musiały</sup> tam siedzieć 9 miesięcy i 2 lata. Dlatego m. in. one się tak do nas garnęły wykorzystując różne podstępny. Życie w tym lagrze było lekkie. Ich głównym zajęciem było wyszywanie i opiekowanie się dziećmi. Miały ~~na~~ na miejscu nawet stałego lekarza. Obok tego lagru był budowany cmentarz "holm sławy". Miał być w kształcie cmentarza Obrońców Lwowa, z tym, że dużo większy, ale nie ładniejszy, tylko kanciasty, cmentarz nie umieli budować. Obok tego "domu matjery i rjebjonka" przeciegał rurociąg gazowy. 150 mm średnicy i było tam 8 atm ciśnienia gazu. Podłączyłem się pod gazem do tego rurociągu i wybudowałem stację redukcyjną. Wykonalem to wg planów rosyjskich, które otrzymałem z gazowni lwowskiej i okazało się, że to "otliczna" było wykonane tam. celującą. Przyszli z gazowni to odierac i nie mieli żadnych zastrzeżeń. NKWD zgi było mnie do "Lwów-planu", to było coś podobnego do naszego "Lwów-Projektu", z tym, że było dużo większe

uprawnienia i tak oficjalnie dostałem zezwolenie na projektowanie i budowanie stacji redukcyjnych. Po roku czasu od momentu petytu w "Łożu zastjeri i rjebjenka" zacząłem jeździć w tych celach po różnych innych lagrach.

Jeszcze nim wyjechałem podną jesienią do "Łożu zastjeri i rjebjenka" i kiedy już powyscili Polaków była na "peresylce" grupa niemieckich dzieci, o czym wspominałem wcześniej, ale przywiezione zostały również dzieci rosyjskie, wśród których było dużo "zulików". Dzieci "bytowe" rosyjskie napadały na dzieci niemieckie, które w końcu po długim czasie zostały umieszczone w budynku, ponieważ wcześniej musiały być pod gołym niebem. Nie wiem skąd dzieci rzymsko-niemieckie wzięły bardzo duże szkła, nabierały butelek i dały "bytowym" straszliwe łanie. Były na pewno silniejsze, ponieważ były lepiej odżywione i ubrane. Dzieci te miały po 12-13-14 lat. Skutki były takie, że dzieciom niemieckim powiazano ręce drutem kolczastym i wywieziono do Erhobyca. Wg opowieści jednego konwojenta więziennego - kapitana Glepa dzieci te zaczęły tam karmić zgniłą kapustą i dzieci te zrobiły bunt i od razu wszystkie je wystrzelano. Dzieci rosyjskie wysłane zostały do kolonii dziecięcych/DI1, DI2, DI3/ i w tych koloniach również doszło do buntów. Dzieci te zabiły "ochrę" i zaczęły uciekać rozbiegając się po okolicznych terenach. Codziennie później po kilkanaście sztuk było przywożonych, ponieważ sukcesywnie po nocach były wykapywane. Na "peresylce" byłem świadkiem wielu jeszcze innych podobnych historii i tak dla przykładu: było to już przed samym moim wyjeściem z lagru na wolność - jeden z "zulików" grając w karty o głowę komendanta lagru, tego "zakluczonego" przegrał grę, a następnie z jakiejś pracowni wziął siekiere i tego komendanta trąpnął w głowę zabijając go ~~na miejscu~~.





tam nic takiego nie było i były z tym wczesniej niesamowite trudności. Ponieważ te "dobra" były przeze mnie im dane, z tej przyczyny niestety z ich stronyak bardzo <sup>wiele</sup> ~~razo~~ różnych kłopotów. Na przykład jak chciałem pójść do domu, to zaraz znajdował się jakiś xx "bojec", i bez karabinu, tylko z rewolwerem szedł ze mną. Iasiętam raz, jak szedłem w kierunku domu z "bojcem" i ten mówi: - "Słuchaj, ty idź do domu, a ja idę na bazar". Innowasj te wygł~~oszenia~~ cały dowcip na tym polega, że trzeba coś umieć robić, czego oni nie potrafili i dla nich to jest ważne.

To otrzyściam wszystkich uprawnień gazowniczych odszedłem z "Iomu matjeri i rjebjonka" i byłem na "Lampowym zawodzie". Była to wybudowana fabryka żurówek i znajdowała się ona miejscu ul. Lwowskich Dzieci w kierunku ul. Kolsparkowskiej, za szkołą Sienkiewicza. Rosjanie zajęli cały ten teren i mojej babce, która na Kolsparkowskiej miała willę zabrali jej ją nie dając żadnego odszkodowania - własność prywatna nie jest żadną własnością. Parę dni na tym "Lampowym zawodzie" siedziałem, ponieważ musiałem poglądać ten lagier, a następnie pójść do fabryki i zrobić plany i projekty. To był lagier duży i tam znowu ~~czekała~~ nowa historia /się wydarzyła. (tęż buchalterem w tym lagrze był jakiś major, który wracając z Sieniec z dobrą "czanajdanem" ~~był~~ każdy z nich, który był na zachodzie miał dobrze wypocząty "czanajdan", a to jeszcze w dotaku był major). Jechał pociągami z zachodu do Rosji i w czasie podróży napadli go "solicy". Odebrali mu "czanajdan", a jego wyrzucili z pociągu przez okno. Trzymał się palcami szyby, ale ci go tкнуli rewolwerem po palcach, tak, że spadł na dół, ale nie zablił się. Przyjechał później jakoś do Lwowa i wsadzili go do więzienia od /razu, bo przecież on przyjechał z zachodu. Do tego lagru przywieźli "Julika"



który wyrzucił tego majora przez okno i zabrał mu "czamańdan". Siedział ten "zółik" w przedzoniu i ten buchalter go poznał. Cieszył się ten buchalter, że może się do niego dostać i w ogóle z tego powodu było wielkie poruszenie w całym lagrze. Wypuścili później tego "zółika" na teren lagru. Co się też działo w nocy nie ~~wieszcie~~, w każdym razie rano "zółik" miał całą głowę zabandażowaną. Wyglądał nieźle. Następnego dnia "zółik" poszedł do pracowni szewskiej ze swoimi kolegami i pokrajał noże szewskie. W nocy poszli z tymi nożami, a rano znaleziono cztery trupy buchalterów. W tym oczywiście był ten buchalter. "zółik" z głową zabandażowaną leżał na ziemi z rękami skrępowanymi z tyłu, następnie przyjechał samochód, przerzucili go przez burtę i wywieźli. W bardzo krótkim czasie, bo za parę dni zrobili sąd w lagrze i ten "zółik" i trzech jego kolegów było sądzonych. ~~nie~~ w tym dniu nie wypuścili do roboty i wszyscy inni <sup>też</sup> nie poszli do roboty, tylko musieli być na sądzie. Sąd odbył się na powietrzu, bo było bardzo ciepło. Wyrok - 1,5 roku więzienia dla tego "zółika", z tymtych trzech jeszcze mniejsze wyroki dostało. Ten główny twierdził, że naprzód uderzył tego buchaltera trzy razy w pierś, a potem sześć po brzuchu i następnie wkręcił mu się do żołądka i "jeszcze krutił tam". Takie zaznanie słyszałem na tej rozprawie - chwalił się tym. Wyrok był tak niski, ponieważ oni już mieli inne wyroki. Oni ich prawie nigdy nie odsiadywali. Spotkałem na "peresyłce" jednego "zółika", którego wyroki łącznie były w wysokości na 157 lat. ~~Wszystko to~~ w roku w <sup>krótkim</sup> czasie <sup>mu</sup> darcwywano i szli później do domu. To jest uprzywilejowana kasta, na której ten cały system się opiera. Lenin w oparciu o takich ludzi zrobił swoją rewolucję i dlatego oni byli "czynnownikami" we wszystkich lagrach. W tych lagrach daleko ~~na północ~~ tam nie było komendantów "wolnonajomnych", tylko sami "zółicy" i oni tam swoje rzędy sprawowali.

Miałem już cały projekt przygotowany dla "Lampowego zawodu", ale zbliżała się zima i wykonanie robót w tym lagrze musiałem przełożyć na inną porę.

I w tym czasie, tzn. z zimy 1947/48 byłem na "Kielzawodzie". Ten lagier znajdował się na peryferiach Lwowa i mieścił się on na jednej z bocznych ulic w okolicach ulicy Żółkiewskiej, a młynem św. Heleny. Przy silnych mrozach gazyfikowałem tam "Ochre". Tam mieszkał "oper pełnomocny" z "peresyki". Pewnego razu w czasie robót przeze mnie wykonywanych przyszła do mnie matka tego "opera". "aprosiła mnie do domu na herbatę i poprosiła mnie, abym przeciągnął jej "trubkę", "bo jest pieć i "byłoby mi ciepło". Bijąc tą herbatę trochę porozmawialiśmy jeszcze na inne tematy. Pamiątam, że w pewnym momencie podeszła do nakastlika i z jakimś szmat rozwinęła książeczkę do nabożeństwa, w środku były jakieś zapuszone kwiatki i pokazuje mi to. Pytam się jej: - "Jak to, syn tam pracuje, a pani jest religijna i wierzy w boga i na to pozwala, żeby on miał taką pracę?". Ona na to odrzekła tylko: - "Co ja mam robić, on musi przecież pracować". Żadnego więcej innego zdania na ten temat nie powiedziała, ale widać po niej, było żal. Przeciągnąłem jej tą rurkę.

Wróciłem z powrotem na "lampowy zawód" i tam zacząłem kończyć wcześniej rozpoczętą gazyfikację.

Wczesną wiosną 1948 roku przyszedł do mnie bolszewik z tego lagru i mówi: - "Słuchaj, ty pojedziesz do domu. Wabiraj się z wieszczami" Przewieźli mnie na "peresykę". Poszedłem zaraz do "złotego technika", który był moim dobrym kolegą, był to <sup>Wiemer</sup> Kojanin, bardzo porządny człowiek. Zostałem wezwany do "opera pełnomocnego"/u którego przeciągnąłem tą rurkę i tym sobie bardzo zresztą pomogłem/ i ten do mnie mówi: - "Słuchaj, ty coś tam nabołtał, ale ja to wszystko podarłem i pojedziesz do Polski". Musiał mnie jakiś kapuś zdradzić. Od razu mi ten "oper"



powiedział, gdzie mam spać, i to nie tam, gdzie wszyscy, tylko znalazł dla mnie jakieś specjalne, osobne miejsce. Na drugi dzień widzę, że idzie "oper", więc mu się ukloniłem, ale w ogóle nie zareagował. Pozwalał mi później i mówi: - "Słuchaj, ty mi się w lagrze nie kłaniaj".

Nie mogłem od razu pojechać do Polski tylko musiałem tam jeszcze jakiś czas siedzieć za nim to wszystko się "uformi". Dopiero ~~mo-  
gę~~<sup>zmi</sup> pojechać z jakimś "etapem", bo tak jednego nie puszczają. Coś po trzech dniach znowu wzywa mnie "oper" i mówi: - "Słuchaj, ty nie możesz wyjechać, bo tobie zabrali cenności", a więc, to co miałem przy sobie w momencie aresztowania, a zdążyłem wtedy trochę ze sobą tego wziąć. Miałem złoty zegarek Longina ze sto-  
perem, sygnet z kamieniem, papierosnicę i zapalniczkę też ze zło-  
ta, łańcuszek z rzeźbionym krzyżykiem i to wszystko zostało skon-  
fiskowane przez śledczego Szczerbakowa do spółki ze ~~wasim~~ asysten-  
tem. Mówi mi dalej ten "oper", że "oni muszą przejść sąd i muszą  
tobie za te rzeczy zapłacić". Wyszedłem od niego i pomyślałem,  
że po cholerę mi to wszystko, kiedy ja mogę stąd wreszcie ucie-  
kać. Tymczasem przyszedł do mnie buchalter z "peresytki" i za-  
prosił mnie do siebie do biura, gdzie od razu na stół postawił  
wódkę i położył różne smakołyki i przez cały czas nagabywał mnie,  
abym został w lagrze i że tylko ja będę zajmował się złotem,  
a on to już wszystko tak załatwi, że będę miał dwudziestokro-  
tnie w zeszłą pensję od innych i będzie mi bardzo dobrze. - "Sia-  
daj tutaj ze mną, a będzie ci bardzo dobrze, niczego ci nie br-  
knie" - tak się wtedy do mnie zwrócił. Powiedziałem, że nie.  
Poszedłem do "zubnego technika" i mówię do niego, że ja się  
tych wszystkich "cenności" zrzeknę na co ten mi odpowiedział,  
że wtedy mnie puszą i warto tego spróbować. Napisałiśmy pismo,  
że ja zrzekam się tych "cenności na korzyść rosyjskich lotci-  
ków". Chodziło mi o to, żeby mieć spokój w końcu z tą sprawą,  
a druga rzecz to ta, że ta cała kradzież ~~tych cenności~~ nie kł-

dzie kradzieżą prywatną, tylko państwową, a ta kradzież jest u nich bardzo wysoko karana, o czym już wspominałam. "Technik zubnyj" wypisał mi to całe zrzeczenie po rosyjsku pod którym się podpisałam i na drugi dzień zaniósł je do "opera pełnomocnego". Trzy razy to czytał i mówi: - "Ale ty umnyj parek". Ja udaję głupiego. Dodał jeszcze, że "Cieres dwa dnia buczet sjediet". Ten "zubnyj technik" nazywał się Lifior. Jak poszedł do wojska, to zmienili mu z miejsca na Lifiorow i tak jego nazwisko brzmiało w jego książeczce wojskowej i paszporcie/dowodzie osobistym/Czekałam na "etap" i wreszcie się doczekałam. Wyciągnęli mnie do "przedzonia". Jeszcze przed tym czasem przyszedł do mnie "oper" i zapytał się czy chcę coś napisać do rodziców. Za łączność z więźniami w NK D była kara śmierci, a on na to poszedł - cały czas mi przypominał, że ja jestem "trąbką dał". Przyniósł mi kartki z domu, którą musiałem przy nim spalić i coś tam jeszcze dostałem od rodziców też w ciekawy sposób i to dzięki znów temu "operowi". Czekałam w "przedzoniu", a u góry otwiera się okno i wzywa mnie "oper". Tam u niego dostałem "peredacze" z domu. Gdyby mi to dał w lagrze, to straż lagrowa, która robi "obisk" zaorała by mi to wszystko. Nie musiałem przechodzić rewizji w "przedzoniu", bo ta już była wcześniej, tak, że z tym co miałem w "przedzoniu", to już zostałem. Zaradowali nas do "czarnego Wozona", było nas więcej. To był ciężarowy samochód, do którego wpełzaliśmy ~~na~~ strasznie dużo ludzi. Właśnie w tym samochodzie brak w wentylacji i dopiero wtedy widziałem, jak się ludzie duszą. Straszliwie się człowiek pocił, tak, że dosłownie, aż w butach chlapało. Przewieźli nas na dworzec we Lwowie i tam już czekał na nas wagon. Był to wagon "stołpinowki", tzn., wagon osobowy przerobiony na więźniarkę. Drzwi w nim nie były, tylko jest siatka i w jednym przedziale mogą się zmieścić 32 osoby/słownie trzydzieści dwie osoby/!



wyglądało to w ten sposób, że <sup>były</sup> s<sup>z</sup> ułożone warstwowo deski jedna pod drugą i na nich ~~leżeli~~ leżeli więźniowie. Nie wypuszczali w ogóle do ubikacji, coś tak się było, ale nie siedzieli jak to wyglądało, i ci którzy byli na górze zlatwiali się na tych, którzy byli niżej. Ochrze, że wtedy od rodziców dostawałem całą litrową flaszkę kawy w "peredaczu", bo po tym specenie xixixix bardzo mi się ochodziło pió i cośniej nogiem do tej flaszki s<sup>z</sup>atwalał się. Przewieźli nas do Baranowicz. Byłem bardzo zdziwiony, ponieważ często więźniów odizolowali i oni pojednali gdzieś dalej i w przeciwną kierunka chycą. Wszyscy "bojcy" z psami pojednali z tymi transportem, a przy nas zostało ich tylko ~~tylko~~ czterech. W Baranowiczach zaprowadzili nas do więzienia i dali nam ~~coś~~ coś zjeść. Nie było żadnych "obisków" i można było swobodnie rozmawiać i chodzić. Bardzo dużo rozmawiałem z księdzem Firutem. Był to lwowski duchowny. Następnego dnia przewieźli nas do Prześcia. Nie wiem dlaczego, ale z Prześcia został zawrócony z powrotem ks. Firut do Rosji. Był też z nami już tylko jeden "bojce", który miał nasze dokumenty, a myśmy mieli "lużen". Ustaliliśmy się do czegoś w którym byli wyłącznie sami Polacy - byli to przejściowy odcinek graniczny. We wszystkich etapach i więzieniach roszyliśmy on w których tylko wszędzie były Polacy. W Prześciu a i dalej w ty nie było - sami Polacy, a więc czystość. To była wielka różnica, która bardzo mi wlekała na umyśle pomogła.

Następnie przekroczyliśmy granicę. Ja zostałem korespondentem całego transportu. Polędzy, z którymi wtedy jechaliśmy nie przyjęli tego zbyt przyjemnie, tak to wyglądało, jak ja bym był kapusienką a może z tej przyczyny, że z łagru wyciągnął mnie Chruszczow. Oni o tym wiezieli, ponieważ sam im to chyba powiedziałem. Chciałbym się tutaj zatrzymać i coś nieco na temat powiedzieć. Jak to się stało, że za przyczyną Chruszczowa zostałem zwolniony?

Chruszczow wtedy, kiedy Sowietci w 1939 roku napadli na Polskę był I sekretarzem Ukrainy. We Lwowie, a raczej koła lwowa, w lasach były bardzo bogate szyby gazowe. Był tam wspaniały gaz ziemny, który miał 98 % z kawałkiem metanu, 1 % butanu, a reszta to ułamki procenta innych gazów, a więc już prawie czysty metan. Chruszczow <sup>z jego strony</sup> koniecznie chciał zgazyfikować Kijów i w tej sprawie szukał się kontaktowca, który jest zastojem ~~polenisk gazowizier~~. Sowietci nie mieli kompletnie żadnych fachowców w gazownictwie, i nie tylko. Chruszczow kontaktował się z ojcem, przy czym Chruszczow nigdy nie przychodził do mieszkania, albo biura ojca, tylko wszystkie rozmowy przez nich prowadzone odbywały się zawsze w ogrodzie. Ogród obstawiało kilku goryli, przychodził Chruszczow, wzywali ojca i też dopiero rozmawiali o tych sprawach. Tak się raz akurat złożyło, że ja znajdowałem się w ogrodzie, a ojca wezwali do telefonu i ja zostałem sam jakiś czas z Chruszczowem. Pokazywałem mu jakieś kalupki, on kiwał głową, ja sni słowa po rosyjsku, on po polsku i tak była nasza piękna rozmowa.

Ody zostałem aresztowany przez NKWD w związku z Delegaturą, ojciec mój starał się, aby mnie zwolnili, ale nie się nie dało zrobić w tej sprawie. Był to styczeń 1945 i w tym czasie aresztowane w Lwowie większość profesorów wyższych uczelni tego miasta. Mój ojciec był aresztowany. Profesorów tych wywieziono do Bombas i tam przy ojcu został tylko jeden z nich i był to prof. Burzyński. ~~na sam wódzie wszyscy w ten sposób zgineli.~~ W jakimś czasie od momentu wejścia Sowietów po nas pierwszy do Lwowa ojciec mój został zdjęty ze stanowiska dyrektora gazowni lwowskiej zostając tylko głównym inżynierem w tejże gazowni. Dyrektorem został Tkaczenko - Ruski, bardzo paskudny typ. Ojciec w tym czasie pracował nad palnikami bezpionowymi



i wszystkie plany tej swojej pracy przedstawił Tkaczence, a ten zgłosił to jako swój wynalazek. Dopiero z biegiem czasu, po latach Chruszczow zorientował się, co się dzieje i zwrócił na ojca uwagę. Ojciec w latach pięćdziesiątych został akademikiem nauk i latał z wykładami na trasie Moskwa-Leningrad-Kijów-Odessa. ~~Wszystko było przypadkiem, że te pozwolenia nie dolatywały.~~ Ojciec miał wspaniałą pensję i jako akademik miał dostęp do sklepów akademii nauk, gdzie za bezcen prawie można było wszystko dostać. ~~xxxxxxx~~ Ojcu proponowali, żeby wstąpił do partii/1946/47/, ale ojciec powiedział, że syn siedzi, wobec tego on nie może być w partii. Ojciec prosił Chruszczowa, żeby zajął się moją sprawą i ten mu to obiecał. Niem to z relacji z domu, jednakże o wielu szczegółach dowiedziałem się dopiero później, kiedy pierwszy raz po uzyskaniu wolności pojechałem do Lwowa/1956/. Ojciec już wtedy nie żył - nawet na jego pogrzebie nie mogłem być, ponieważ przepisy wyjazdowe były takie, że to skutecznie opóźniły, mimo, że to był przecież pogrzeb.

Trwało coś ze dwa lata od momentu pierwszej obietnicy, kiedy Chruszczow pokazał ojcu trzy pisma ~~do~~ <sup>do Berii i od /</sup> ~~do~~ Berii w tej sprawie. Pierwsze było ~~od~~ Chruszczowa do ~~xxxxxxx~~ Berii, drugie było z odpowiedzią od Berii, żeby Chruszczow tą sprawą się nie zajmował, bo go może spotkać taki sam los i trzeci list po okresie właśnie dwóch ~~lat~~ <sup>lat</sup> wyrażający zgodę Berii na moje uwolnienie. I w tym czasie właśnie wyszedłem.

Przyjechalismy następnie do ~~xxxxxxx~~ Białej Podlaskiej. Na ~~przebiegu~~ <sup>stacji</sup> ~~naszego~~ składu zajeżdżał wojskowy pociąg rosyjski i jak nasi zobaczyli, że oni jadą w kierunku na Brześć, to zaczęli się z nich śmiać. Jakiś Ruski oficer wyskoczył z rewolwerem i do nas: - "Zdies nikakija Polsza, zdies Rosija wejегда budjet". Takie było pierwsze zetknięcie z Polską i takie były pierwsze

słowa jakie usłyszeliśmy w Polsce i w dodatku znów one pochodziły od rosyjskiego oficera.

W Białej Podlaskiej rozdali nam worki, w których była jakaś odzież i żywność. Dawali jeden na dwóch, choć przysługiwało jedna osoba do jednego worka.

Następnie poprzez Warszawę przyjechałem do Wrocławia. Zamiast robie przy zegarkach musiałem pójść do gazowni, gdzie dyrektorem był pan Lena. Przyjęty on został do gazowni lwowskiej jako Obrońca Lwowa, ale potem okazało się, że to był Ukraińiec i że był po jaki super kursach ukończonych w Moskwie i dlatego m. in. został dyrektorem naczelnym gazowni wrocławskiej.

---

---



Jak wracałem z "peresyłki" ze Lwowa do Folski, do Erześcia jechałem razem z księdzem Firutem. I z nim dosyć dużo rozmawiałem na różne tematy. Między innymi rozmawialiśmy o naszym pobycie w niewoli bolszewickiej. Powiedziałem jemu wtedy, że czuję straszliwą nienawiść do Rosjan - do tego systemu. Bo po pierwsze: siedziałem tyle czasu w niewoli, zostałem obrabowany, a miałem majątek wcale ładny, który zarobiłem swoją pracą, w Katyniu zginął ojca brat/Seweryn Piwoński/, w lagrach zginął krewny ks. Jerzy Choma - obrońca Lwowa - z karabinem w ręku prowadził cały oddział chłopców ze szkoły i cały teren koło szkoły Sienkiewicza trzymał przed Ukraińcami w 1918 roku. Ci ludzie zostali pomordowani. Ile zginęło jeszcze moich znajomych, ile krzywdy zrobili naszym Polakom?

Ks. Firut powiedział, że ta moja nienawiść jest normalna - - że tak powinno być. Spodziewałem się raczej od księdza potępienia tej nienawiści i nie wiem - może i on odczuwał to samo co ja?

Co mi dały te lagry? Na pewno stosunek do tych ludzi, do tego systemu - to jedno jedyne!

W domu byłem wychowywany w harmonii, w miłości i nigdy nie podejrzewałem u swoich sąsiadów i znajomych jakiś niskich instynktów, czy jakiegos negatywnego nastawienia. To mi w życiu pozostało i dlatego nie jedden raz byłem później przez ludzi oszukany. Nie mniej jednak wiara do ludzi dalej pozostała, bo to właśnie zależy od tego w jakich warunkach człowiek został wychowany i to zastaje później na całe życie i nie da na to rady. Dalej czekam i wierzę, że Polską wróci, że znowu będą jakieś inne warunki. Pewnie, że to co już minęło, ten stary system i ta wesołość lwowska, którą bardzo dobrze pamiętam z lat młodości już nie wróci. Później w życiu już się nigdy z tym nie spotkałem nigdzie i chyba w przyszłości tego też już nie będzie.

Lwów to było bardzo wesołe miasto, wszyscy ze sobą rozmawiali, w tramwaju, na ulicy, czy gdziekolwiek. To są rzeczy, które minęły już bezpowrotnie.

Jedna jedyna sprawa i refleksja: czy powiedzmy, gdyby się miało przeżyć jeszcze raz te wszystkie rzeczy, czy ja bym był ostrożniejszy, starał się nie być, nic nie robić? W żadnym wypadku - nie - nie żałuję tego co <sup>ci</sup> rbiłem. Uważam, że można jeszcze było zrobić dużo więcej. Człowiek ma też swoje słabostki - i trudno, tak już chyba musi być i tak chyba wygląda życie.

---

---



Indeks nazwisk do relacji p. Jerzego Piwońskiego

/Uwaga: pisownia nazwisk skorygowana w stosunku do relacji, obowiązująca także dla tekstu relacji!!!/

- I. Abakumow - komendant obozu "peresylnego" na ul. Pełtewnej we Lwowie, w latach 1945-48.
2. prof. Batowski - artysta malarz, w latach 39-45 mieszkaniec Lwowa.
3. mjr Bortnowski - dowódca batalionu w I2 DP, przełożony autora podczas wojny 1939 r.
4. prof. Bronczyk - nauczyciel gimnazjalny, na przełomie 1944/45 więziony na ul. Łackiego we Lwowie.
5. prof. Burzyński - aresztowany w I. 1945 r., więziony w Donbasie, wrócił.
6. ks. Jerzy Choma - obrońca Lwowa w 1918 r., zginął podczas II wojny św. w łagrach sowieckich, krewny autora.
7. Leopold Czaczkes-Kucharski - Żyd, łącznik i kurier lwowskiej Delegatury Rządu; aresztowany przez Sowieców i skazany w procesie lwowskiej Delegatury.
8. Stanisław Czuruk - współpracownik Del. Rządu we Lwowie. areszt. w VIII 1944, osądzony w procesie delegatury w I. 1945 r.
9. Dażwański - dyrektor Polminu, przed 1939 r. v-ce minister, znajomy rodziny autora.
10. Stefan Dażwański - syn 8/, żołnierz ZWZ i AK, łącznik między Warszawą a Lwowem; zginął w drugim dniu Powstania Warszawskiego jako żołnierz "Baszty".
- II. Dażwański - syn 8/, brat 9/. Żołnierz AK, zginął podczas walk o "Pastę" w trakcie Powstania Warszawskiego.
12. inż. Dylebiński - właściciel stacji obsługi samochodów we Lwowie, aresztowany przez Sowieców bez żadnej przyczyny, skazany na 10 lat za "antysowiecką" wypowiedź w celi, w 1945 brygadzista pracowni mechanicznej na "perasyłce" przy ul. Pełtewnej we Lwowie, wykupiony z więzienia przez rodzinę.
13. Jerzy Fiderer - współpracownik grupy technicznej Del. Rządu we Lwowie, aresztowany w VIII. 1944 r., zdecydował się na współpracę z komunistami, wypuszczony z więzienia. Po wojnie podobno pracował w UB.
14. ks. Firut - kapłan ze Lwowa, więzien sowiecki, w 1948 r. w tran-

-sporcie repatriacyjnym do PRL wraz z autorem, zawrócony z Brześcia.

15. Frankowski - przedwojenny pracownik poczty we Lwowie, współprac. organizacji podziemnej przed 1941 r., z jego zlecenia autor robił fotograficzną dokumentację zbrodni popełnionych przez Sowieców w VI. 1941 r. we lwowskich więzieniach.
16. Frankowscy - dwaj synowie 15/, żołnierze AK, zamordowani przez Niemców.
17. kpt. Glep - żołnierz 678 pułku konwojowego, "opiekującego się" transportami więźniów opuszczającymi lwowską "peresyłkę".
18. Kola Goruwniow - w 1945 r. brygadzysta pracowni zegarmistrzowskiej na lwowskiej "peresyłce", były poseł z Żytomierza, czołgista, jeńiec Wehrmachtu. Skazany na 10 lat za dostanie się do niewoli /"za zdradę Ojczyzny"/.
19. Władysław Grzędzielski - pracownik Del. Rządu we Lwowie, dr praw aresztowany i skazany w procesie lwowskiej Delegatury, przyjechał do Gliwic, w Łagrach nabawił się choroby psychicznej /wg p. Wierzbickich - zmarł w Łagrze/.
20. Wacław Hładuński - artysta malarz, szef wywiadu lwowskiej Delegatury Rządu, aresztowany w VIII. 1944 r., skazany w procesie Delegatury.
21. Klein - zegarmistrz z Wiednia, w 1945 r. więzien lwowskiej "peresyłki".
22. Zenon Konieczny - członek grupy likwidacyjnej Delegatury lwowskiej skazany w jej procesie, uciekł z obozu przy ul. Pełtewnej, po przyjeździe do PRL podobno uprawiał rozboje na Śląsku.
23. inż. Kopacz - współpracownik Del. Rządu.
24. Krzysztof Kopacz - syn 23/, łącznik lwowskiej Delegatury.
25. Kopacz - drugi syn 23/, żołnierz AK podczas okupacji niem. we Lwowie.
26. Leszek Karnicki - kolega autora, przechowywał sprzęt techniczny lwowskiej Delegatury. Aresztowany w VIII. 1944 r., zwolniony, ponownie aresztowany we IX. lub X. 1944 za przechowywanie rotatora, skazany w procesie Delegatury.
27. Kościanko - zegarmistrz z Kijowa, dezerterski z Armii Czerwonej, w



- 1945 r. więzien "peresyłki" przy ul. Pełtewnej we Lwowie, zwolniony w tymże roku na podst. amnestii.
28. Marian Kratochwil - przyjaciel autora, malarz, uciekł podczas pierwszej okupacji sowieckiej ze Lwowa na Zachód.
  29. Kulczyńska - żona profesora UJK, łączniczka Delegatury.
  30. Mieczysław Kupisz - żołnierz AK, w lecie 1945 r. więzien obozu przy ul. Pełtewnej we Lwowie.
  31. Zbigniew Kurc - przyjaciel autora, przechowywał sprzęt radiowy lwowskiej Delegatury, zbiegł przed aresztowaniem przez Sowieców jesienią 1944 r.
  32. Marian Lachowicz - współpracownik Delegatury, aresztowany w VIII. 1944 r., skazany w procesie lwowskiej Delegatury.
  33. Lema - Ukraińiec, po wojnie dyrektor gazowni we Lwowie.
  34. Lifior/ow/ - rosyjski Niemiec, technik dentystyczny, więzien lwowskiej "peresyłki".
  35. Magdalena Lukas - w 1945 r. więźniarka "peresyłki" we Lwowie.
  36. Stanisław Machalski - przedwojenny przew. związku zawodowego w gazowni lwowskiej, towarzysz nieudanej ucieczki autora spod okupacji sowieckiej w 1939 r.
  37. Machalski - technik lotniczy, brat Stanisława, także zaangażowany w próbę ucieczki w 1939 r.
  38. dr Markow - /Polak/ lekarz dermatolog, w 1945 r. więzien w obozie na ul. Pełtewnej we Lwowie.
  39. Michur - Ukraińiec z dywizji SS "Hałyczyna", więzien jednego z lwowskich łagrów w 1946 lub 47.
  40. Marian Mickiewicz - agent gestapo lwowskiego, w 1944 w więzieniu przy ul. Łąckiego, następnie zwolniony już jako agent NKWD.
  41. Napadiewicz - pracownik gazowni lwowskiej, jesienią 1939 r. członek organizacji inż. Skurskiego, aresztowany w XII. 39, zginął na Zamarstynowie w VI. 1941 r.
  42. Bek Nazarian - Ormianin, "nadzierateli" w obozie na ul. Pełtewnej w latach 1945-48, pomógł uratować naczynia sztalne z katedry ormiańskiej we Lwowie.
  43. Czesław Niezabitowski - pracownik Delegatury, szef KWP, aresztowa-

wany i skazany w procesie lwowskiej Delegatury.

44. Andrzej Niezabitowski - syn Czesława, pracownik lwowskiej Delegatury, losy jak ojciec.
45. Adam Ostrowski - Delegat Rządu we Lwowie, w 1944 r. aresztowany przez NKWD, w więzieniu poszedł na współpracę z komunistami, zasypał wielu współpracowników, zwolniony. W PRL członek władz.
46. płk Paszkiewicz - dowódca I2 DP podczas wojny 1939 r., ciężko ranny, przedostał się na Zachód.
47. Emil Piwoński - ojciec autora, profesor Politechniki Lwowskiej, po 1945 r. pozostał we Lwowie, pracownik Ukraińskiej Akademii Nauk.
48. Jerzy Piwoński - autor relacji, ur. w 1915 r., absolwent Politechniki Lwowskiej. W 1939 r. uczestnik kampanii wrześniowej w szeregach I2 DP. Świadek mordów popełnianych przez Sowieców na polskich żołnierzach. Po powrocie do Lwowa zaangażowany do grupy konspiracyjnej powstałej w gazowni lwowskiej, wkrótce rozbitej przez NKWD. W VI. 1941 r. sporządzał zdjęcia dokumentujące mordy we lwowskich więzieniach. Od 1941/42 współpracował z konspiracją cywilną we Lwowie. Prowadził lokal kontaktowy Delegatury Rządu. Aresztowany 4.VIII. 1944 r. przez NKWD we własnej pracowni jubilerskiej. Skazany w procesie lwowskiej Delegatury na 10 lat więzienia. Siedział w łagrach we Lwowie. W 1948 amnestionowany, wyjechał do PRL.
49. Seweryn Piwoński - stryj autora, zginął w Katyniu.
50. inż. Piotrowski - Rosjanin, naczelnik łagrów obłasti lwowskiej  
- OITK /Obłastnyje Isprawitielno-Trudowyje Kołony/.
51. Podlewski - członek organizacji inż. Skurskiego w gazowni lwowskiej, aresztowany w XII. 1939 r., zginął w VI. 1941 r. na Zamarstynowie.
52. Emanuel Pokryszko - szef działu legalizacji Delegatury lwowskiej aresztowany i osadzony w procesie Delegatury, zbiegł z "peresyłki" przy ul. Pełtewnej.
53. Andrzej hr. Potocki - znajomy autora z lat 39-41.
54. mjr Radziulewicz - wg autora pracownik NKWD podający się za polskiego oficera we IX. 1939 r. w okolicach Hrubieszowa



55. Robotycy - majster w gazowni lwowskiej w 1939 r., zdradził or-NKWD organizację inż. Skurskiego.
56. Saborowski - Rosjanin, w 1945 r. więzień lwowskiej "peresyłki", brygadzysta brygady elektryków tamże. Uciekł razem z Koniecznym. Podobno prowadził działalność przestępczą na Górnym Śląsku.
57. inż. Skurski - b. oficer armii Hallera, organizator grupy konspiracyjnej w gazowni lwowskiej jesienią 1939 r., aresztowany w XII 1939 r., zginął w więzieniu na Zamarystynowie w VI. 1941 r.
58. Szczerbakow - śledczy NKWD w więzieniu przy ul. Łąckiego we Lwowie w latach 1944-45.
59. mec. Władysław Świrski - kierownik referatu wojskowego w Del. Rządu we Lwowie, skazany w procesie delegatury na 20 lat.
60. Tkaczenko - Rosjanin, dyrektor gazowni we Lwowie podczas okup. sowieckiej.
- 61/ Danuta Turczak - /akt. Piwońska/ - w 1945 r. więziona w obozie przy ul. Pełkowej we Lwowie.
62. Mieczysław Wachsman - b. pracownik polskiego wywiadu, pracownik Del. Rządu, skazany w procesie lwowskiej delegatury na 20 lat.
63. Wachsman - syn Mieczysława, prac. grupy technicznej Delegatury /wg pp Wierzbickich obaj synowie W. nie byli zaangażowani w konspirację - byli zbyt młodzi/.
64. Wieczyrka - Rosjanka, wolna, komendantka "sanczasti" na "peresyłce" lwowskiej.
65. Maria Wierzbicka - łączniczka Delegatury, aresztowana 4.VIII. 1944 w lokalu Piwońskiego /w tekście błędnie: Anna Szymczyk/
66. Varanka - adwokat, pracownik warsztatu zegarmistrzowskiego autora w okresie okup. niemieckiej, po wojnie dygnitarz we Wrocławiu.
67. mjr. Zawiełochin - zastępca dowódcy ochrony zewnętrznej, "Ochry", w łagrze przy ul. Pełkowej we Lwowie.
68. prof. Ziberowa - nauczycielka gry na fortepianie, znajoma autora, aresztowana 4.VIII. 1944 r. w "kotle" w jego pracowni, zwolniona.
69. Żygulski - sędzia DeL. Rządu, skazany na 15 lat, w PRL minister kultury